

**ALISTAIR MACLEAN**

# **KAPITAN COOK**

**PRZEŁOŻYŁY: ANNA DOBRZAŃSKA AGNIESZKA PIOTROWSKA**

## PROLOG

Historia, którą chcę opowiedzieć, wydarzyła się na początku XIX wieku. Pewnego dnia Jeremy Blyth, który pracował w marynarce królewskiej, ale miał dopiero popłynąć w swój pierwszy rejs, wszedł do piwiarni w Wapping. Była to typowa dla tego czasu i miejsca portowa tawerna — brudna, zadymiona, z popękkanymi deskami w podłodze, pociemniałymi ścianami i sufitem. Nie sposób było w niej dostrzec jakichkolwiek oznak postępu, który w tych czasach zaczął już wszędzie docierać. Ogromny bar, kilka chwiejnych stołów i krzeseł — oto całe wyposażenie tego specyficznego miejsca. Klienci także byli typowi: marynarze z marynarki handlowej i wojennej. Wielu z nich zostało wcielonych do marynarki siłą przez gangi, które porywały mężczyzn, by następnie odstępować ich kapitanom okrętów. Wielu marynarzy miało za sobą kryminalną przeszłość, większość piła i kłęła bez opamiętania. Żyło im się tak ciężko, że przyzwyczaili się już do cierpień, trudów i śmierci. Byli twardzi i wytrzymali na wszystkie możliwe doświadczenia. Nikt żyjący w bardziej humanitarnym okresie dziejów nie byłby w stanie ich zrozumieć.

Tego szczególnego dnia atmosfera w tawernie była jednak zupełnie nietypowa. Nikt nie odzywał się nawet słowem. Nikt nie pił. Ciszę przerywał jedynie szum morza. Właściciel tawerny ukrył twarz w dłoniach, a ramiona drżały mu od płaczu. Podobnie zachowywało się wielu siedzących przy stołach. Niektórzy z nich płakali zupełnie otwarcie, a wszyscy wydawali się zagubieni w swoim własnym świecie smutku. Jeremy Blyth usiadł naprzeciwko starca o poszarzałej twarzy i oczach pełnych łez. Przed marynarzem stała pełna szklanka, której nawet nie tknął. Zdumiony Blyth dotknął delikatnie jego ramienia.

— Co się stało? Jakieś nieszczęście?

Stary człowiek spojrzał na niego znad stołu i zapytał z irytacją:

— Jak to? Nic nie słyszałeś? Nie wiesz?

Blyth potrząsnął przecząco głową.

— Umarł Nelson — powiedział starzec.

Wtedy Blyth jeszcze raz spojrzał uważnie na mężczyznę, dla którego śmierć Nelsona stała się niezabliźnioną raną i oznaczała pustkę nie do wypełnienia. Powiedział:

— Dzięki Bogu, że nigdy go nie znałem.

Wątpliwe, czy taka lub choćby podobna scena miała miejsce, kiedy mniej więcej dwadzieścia sześć lat wcześniej wiadomość o śmierci Cooka dotarła do Anglii. Naród nosił po nim żalobę tak samo, jak po wszystkich swoich wielkich, po Marlborough, Wellingtonie czy Churchillu. Jednak śmierć Cooka nie złamała Anglikom serca.

Nelson i Cook to dwa najszacowniejsze nazwiska w annałach marynarki królewskiej. Cześć, jaką się im oddaje, składa się z szacunku i miłości. Nelsona szanowano, ale przede wszystkim kochano. Cooka przede wszystkim szanowano; nie potrafił wzbudzić w umysłach i sercach ogółu takiej miłości i uwielbienia, jakie Nelson zdobył bez trudu. Nie ulega jednak wątpliwości, że oficerowie i inni członkowie załogi Cooka bardzo go kochali.

Powodem tej różnicy są odmienne charaktery obu wielkich ludzi. Żeby kochać człowieka, a tym bardziej osobę publiczną, trzeba móc się z nim identyfikować. Ale żeby to było możliwe, trzeba go znać, lub przynajmniej wierzyć, że się go zna. Poznanie Nelsona było o wiele prostsze — był ciepłym, wychodzącym ludziom naprzeciw ekstrawertykiem. Jego myśli i życie prywatne były równie dobrze znane ogółowi, jak jego życie publiczne. Ale życie wewnętrzne i prywatne

Cooka stanowiły zamkniętą księgę. Tę księgę Cook sam zamknął, a klucz wyrzucił. Lata miały i stawało się coraz mniej prawdopodobne, żeby ten klucz kiedykolwiek został odnaleziony.

O Cooku wiemy wszystko i nic. Wiemy, że był odważny, rozważny, mądry, niepokonany, że uwielbiał przygodę i był urodzonym przywódcą. Mamy jednak tylko odległe pojęcie, jaki był naprawdę. Wiemy, że przeprowadził swoje stare, przeciekające statki z tropikalnego Pacyfiku do lodowato zimnych pustkowi Arktyki i Antarktyki. Były to najbardziej zdumiewające podróże odkrywcze w historii ludzkości. Ale nigdy nie będziemy wiedzieli, czy lubił kwiaty, brał na kolana swoje dzieci lub z zachwytem oglądał słońce zapadające w ocean w okolicach Hawajów czy Tahiti. Wiemy, że był największym żeglarzem wszystkich czasów. Byłoby jednak ciekawe dowiedzieć się na przykład, czy kiedykolwiek zgubił się w plątaniu uliczek swego rodzinnego Stepney.

Zachowanie tak nieprzeniknionej prywatności jest prawdziwym osiągnięciem. To, że Cookowi się to udało, pomimo dokładnego zapisu wszystkich codziennych czynności, które pozostawił w ponad milionie słów, jest absolutnie zdumiewające. Jest to wręcz niezrozumiałe. Żaden wielki czasów nowożytnych nie udokumentował swojego życia tak dokładnie i pracowicie. Cały ten ogromny zapis jest bezosobowy i zdystansowany; prawdziwego Cooka w nim nie ma; można się z dziennika dowiedzieć, co robił, lecz nie kim był.

Nawet w niewielu prywatnych listach, które przetrwały, możemy dostrzec ten sam dystans. Tylko dwa razy mimochodem wspomina o swojej żonie. Nigdy nie dowiedziono, że Cook wspominał w korespondencji o dwojgu dzieciach, które umarły w niemowlęcym wieku i córce, która umarła, kiedy miała cztery lata.

Jego współcześni, od Walpole'a do Johnsona, oczywiście o nim pisali. Kiedy już przeczytamy, co mieli o nim do powiedzenia, zdajemy sobie sprawę, że od nich nie dowiadujemy się o Cooku ani trochę więcej niż od niego samego. Może nie znali go w takim stopniu, jakby tego sobie życzyli; może jego rezerwa i dystans nie dopuszczały w ogóle bliższego poznania. Mogli nawet już wtedy wiedzieć, że mają do czynienia z żywą legendą — człowiekiem, który skazany był na nieśmiertelność. Jeśli tak właśnie było, to rzeczywiście zadanie było nie do wykonania. Legenda otacza żywego człowieka, tak spowijając go sławą, że staje się oczywiste, iż nawet najbystrzejsze oko nie przeniknie do samego serca mitu. Legenda dopuszcza jedynie najbardziej wyszukane i podniosłe zwroty, największe uogólnienia; w obliczu legendy nie mówi się o smaku w wyborze kamizelek jej bohatera, nie rozważa się, czy zatrzymał się na chwilę, żeby w majowy wieczór powąchać bzy.

Napisano wiele biografii Cooka. Żadna jednak nie jest dobrą, prawdziwą, docierającą do sedna historią życia człowieka, o którym tyle chcielibyśmy wiedzieć. Można mocno powątpiewać, czy właśnie taka zostanie kiedykolwiek napisana. Większość biografów, którzy próbowali z otaczającej Cooka sławy wyłonić obraz prawdziwego człowieka, musiało w różnym stopniu uciekać się do intuicji i wyobraźni. Starali się jednocześnie trzymać granic prawdopodobieństwa.

Dowiadujemy się więc od jednego z nich, że pani Cook ze łzami i czułością witała męża po jednej z jego długich podróży; z czułością, ponieważ tak długo nie było go w domu, ze łzami, ponieważ jedno z dzieci umarło w czasie jego nieobecności. Oczywiście jest to jak najbardziej prawdopodobne. Brak jednak dowodów na udokumentowanie takich stwierdzeń. Z tego co wiemy, możemy równie dobrze stworzyć obraz pani Cook bijącej męża po głowie na powitanie, chociaż jest to zupełnie nieprawdopodobne. Faktem jednak jest, że z braku dowodów nie możemy takiej sytuacji absolutnie wykluczyć. Wyobrażenia i domysły nie są w stanie zastąpić dowodów historycznych.

Mówi się, że dokładna biografia jest jedynie kwestią czasu. Nie wierzę w to. Powiedziano

także, że jeśli milion słów, które pozostawił po sobie Cook, podda się połączonym zabiegom statystyka, analityka i psychiatry, prawda wyjdzie na jaw. Że wyniknie wreszcie z takiej analizy coś, czego nie będzie można podawać w wątpliwość wobec świadectwa wspomnianych naukowców. Ponieważ jednak dowiedziono, że i oni popełniają błędy, umysł aż wzdraga się na samą myśl o potrójnym błędzie. *Requiescat in pace* (niech spoczywa w pokoju). Nie do pomyślenia jest, żeby nieśmiertelnego człowieka poddawać procesowi skomputeryzowanego rzeźnictwa.

To, co oddaję wam do rąk, nie jest w ogóle biografią i nawet w założeniu nie miało być dokładną historią jego życia. Prawdziwa historia życia jest w pełni skończonym, barwnym portretem — na mojej palecie nie ma wszystkich potrzebnych kolorów. Brak mi wystarczającej wiedzy o tym człowieku, ponieważ nie posiadamy materiałów.

Przedstawiam jedynie krótki opis jego morskiego czeladnictwa, jego rozwoju jako żeglarza i kartografa i jego trzech wielkich podróży. Może już właśnie to powinno nam pozwolić zrozumieć prawdziwego Cooka; sam przecież powiedział, że był człowiekiem, dla którego osiągnięcia są wszystkim. W swym ostatnim liście pisanym do lorda Sandwich w 1776 z Cape Town mówił: „Nie ustanę w wysiłkach, żeby osiągnąć wielki cel tej podróży”. Nigdy nie ustawał w wysiłku. Znalazł się wśród nieśmiertelnych nie poprzez swoje słowa czy myśli; zaprowadziły go tam jego czyny.

Niech więc one przemówią za niego.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### STARSZY MARYNARZ

James Cook, który miał kiedyś zostać dowódcą kompanii w marynarce królewskiej i najdoskonalszym na świecie połączeniem żeglarza, odkrywcy, nawigatora i kartografa, urodził się w 1728 roku w Yorkshire. Nie wiemy, kim byli jego rodzice, nie znamy też nazwy wioski, w której przyszedł na świat. Matka była dziewczyną z tamtych okolic, ojciec Szkotem, który pracował na jednej z pobliskich farm. Wiele było spekulacji, które z rodziców przekazało Cookowi iskrę geniuszu. Domyśły te nie prowadzą oczywiście donikąd, ponieważ o obojgu nic nie wiemy.

Po kilku latach pracy na farmie, u człowieka, który zatrudniał wtedy jego ojca, w wieku siedemnastu lat, mając za cały bagaż skromne wykształcenie, Cook porzucił rodzinne strony i udał się do niewielkiego portu w Staithes. Ten krok uznano potem za pierwszą oznakę ogromnej, niespokojnej ambicji, która miała go zaprowadzić aż na krańce ziemi. Równie dobrze mógł jednak mieć po prostu dość pracy na farmie. Wydaje się bowiem mało prawdopodobne, żeby sniący o sławie chłopiec szukał pracy w sklepie z artykułami spożywczymi i pasmanteryjnymi. A to właśnie zrobił Cook.

Najwyraźniej jednak nie odpowiadała mu ani wizja życia spędzonego za pługiem, ani za ladą sklepową, bo w 1746 roku w wieku osiemnastu lat opuścił pasmanterię, żeby nigdy już do niej nie wrócić. Wyruszył na morze, które miało stać się jego domem, życiem i pochłaniającą pasją aż do śmierci trzydzieści trzy lata później.

Zatrudnili go właściciele statków John i Henry Walker z Whitby. Specjalizowali się w transporcie węgla, a statki, których używali, były, jak nietrudno się domyślić, wyjątkowo brzydkie, przysadziste i szerokie. Były też bardzo powolne. Estetyka była jednak sprawą całkowicie drugorzędną dla osiemnastowiecznych właścicieli. Oni byli pragmatykami i odpowiadały im takie właśnie statki, zaprojektowane tylko i wyłącznie do przewożenia wielkich ilości węgla. Znakomicie się do tego nadawały.

Miały też inne zalety. Choć inspiracją do ich budowy było chyba przedziwne połączenie holenderskiego drewniaka i trumny, wyjątkowo dobrze utrzymywały się na morzu. Potrafiły przetrwać najgorsze sztormy i wichury, chociaż ich nieszczęsne załogi cierpiały wtedy strasznie. Miały płaskie dno, co pozwalało w razie konieczności napraw wyciągać je na płycizny lub nawet na piaszczyste plaże i wygodnie przewracać na bok. Mogły też pomieścić wielką ilość zapasów. Może więc jest to logiczne, że właśnie węglowce z Whitby, a nie eleganckie fregaty czy okręty marynarki królewskiej, popłynęły z Cookiem na koniec świata.

Cook odbywał więc służbę na pokładzie takiego właśnie węglowca, czterystupięćdziesięcotonowego „Freelove”. Pływał na nim przez pierwsze dwa sezony swego morskiego czeladnictwa, kursując z ładunkiem węgla pomiędzy Newcastle a Londynem. Później przeniósł się na inny węglowiec Walkerów, „Three Brothers”, na którym znacznie poszerzył swoją wiedzę o geografii i rzemiośle morskim. Pływał nim do zachodnich wybrzeży Anglii, Irlandii i Norwegii.

Mało wiadomo o jego zawodowym i prywatnym życiu w tym okresie. Wygląda na to, że nie prowadził żadnego życia towarzyskiego, bo między kolejnymi podróżami lub kiedy statki wprowadzano do portu na zimę uczył się, a nie szukał przyjemności. To jeden z niewielu faktów z jego młodości, który udało się ustalić, bowiem Walkerowie, z którymi Cook mieszkał, gdy nie był w morzu, i ich przyjaciele odnotowali z ogromnym poruszeniem, że Cook spędza długie

godziny na nauce nawigacji, astronomii i matematyki. To był nawyk, którego nigdy się nie pozbył: uczył się aż do śmierci.

Kiedy okres czeladnictwa się skończył, Cook odszedł z firmy Walkerów i spędził ponad dwa lata pływając statkami handlowymi po wschodnim wybrzeżu i Bałtyku. Wtedy bracia Walker poprosili, żeby wrócił i objął stanowisko asystenta oficera\* na należącym do nich statku „Friendship”. Cook przyjął tę propozycję, lecz kiedy trzy lata później, w 1775 roku, zaoferowali mu dowództwo „Friendship”, odmówił. Postanowił wstąpić do marynarki królewskiej jako starszy marynarz.

Ta niezwykła decyzja zmusza do stwierdzenia pewnych faktów, ale także do postawienia pytania. Z pewnością Cook wywarł duże wrażenie na swych pracodawcach, skoro oferowali mu dowództwo „Friendship”. Musieli być zachwyceni jego talentami jako marynarza, nawigatora i przywódcy. Nie powinno to dziwić, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo później rozwinął te cechy, a także swoją praktyczną znajomość kartografii. Zdumiewające jest jednak, że zrezygnował z dowództwa okrętu handlowego i zdecydował się na podjęcie służby w niższym stopniu w marynarce.

Podobnie jak wielu innych swoich decyzji, Cook także i tej nie tłumaczy. (Był bardzo skrytym człowiekiem — w trakcie późniejszych podróży jego oficerowie często skarżyli się, że nie wiedzą, dokąd płyną, dopóki nie dotarli na miejsce). Przypuszcza się, że na jego decyzję mogła mieć wpływ mobilizacja sił marynarki w Brytanii i Francji. Były to już przygotowania do mającej się rozpocząć w następnym roku wojny siedmioletniej. Już wtedy walczone w koloniach, zwłaszcza w Ameryce Północnej, gdzie Brytania i Francja nie udawały już nawet, że negocjacje dyplomatyczne mogłyby być rozwiązaniem sporu o supremację. Chociaż teoretycznie trwał jeszcze pokój, marynarka brytyjska zamknęła już krąg blokady wybrzeży Francji, żeby nie dopuścić do przewożenia żołnierzy i broni do Francuzów osiadłych w Kanadzie. Ponieważ marynarkę brytyjską doprowadzono w ciągu poprzednich lat prawie do upadku, a wojna wydawała się już nieunikniona, angielskie stocznie produkowały okręty tak szybko jak nigdy dotąd. Okrętom potrzeba było załóg, a młodzi ludzie wyjątkowo niechętnie zgłaszali się w tym okresie na ochotnika, czemu nie należy się specjalnie dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę brutalne realia służby w królewskiej marynarce połowy osiemnastego wieku. Trzeba ich było bardzo nakłaniać, żeby zapełniali okręty. Ponieważ plakaty o rekrutacji ochotników nie były zbyt szeroko rozpowszechnione, do pracy przystępowały gangi, które porywały wszystkich sprawnych mężczyzn, czy to pijanych, czy trzeźwych, jacy im się nawinęli.

Wysuwano teorie, że Cook zgłosił się na ochotnika, żeby uniknąć takiego właśnie wcielenia do marynarki na siłę. Ta teoria jest raczej sprzeczna z charakterem Cooka. Co więcej, wydaje się zupełnie niemożliwe, żeby oficer floty handlowej (a Cook mógł być nawet kapitanem, gdyby tego chciał) nie został zwolniony, i to po przeprosinach, w momencie, gdy członkowie gangu dowiedzieliby się, kim jest.

Może Cook był po prostu romantykiem i usłyszał odległy dźwięk bicia w bębny i grającej na alarm trąbki. Może jego patriotyzm wynikał z połączenia nakazu sumienia i zdrowego rozsądku i odpowiedział mu, że poczucie obowiązku i rozważa wymagają uderzenia na Francuzów, zanim zaatakują. A może — i to jest najczęściej wysuwana, choć szalenie cyniczna, hipoteza — Cook uważał, że gdy w nieuniknionej wojnie polegnie wielu, ewentualny awans będzie pewny i szybki. Może był też po prostu zmęczony wdychaniem pyłu węglowego. A może powodowało nim coś zupełnie innego. Nigdy się tego nie dowiemy. Wiemy tylko z całą pewnością, że zaciągnął się 17 czerwca 1755 roku, a osiem dni później przydzielono go do służby na sześćdziesięciodziałowym

---

\* W oryginale mate — w marynarce handlowej stopień niższy od master.

okręcie „Eagle” z Portsmouth.

„Eagle” z kolei został wysłany do blokady wybrzeża Francji. Odtąd, przez resztę swojego życia, Cook będzie prowadził szczegółowy dziennik okrętowy. Nie jest to niestety zapierająca dech w piersiach lektura. Wspomina o zmianach wachty na pokładzie, żywności, podaje raporty o pogodzie, pisze o patrolach, spostrzeżeniu i identyfikacji innych okrętów i mało znaczących szczegółach, które po dwustu latach nie mogą już nikogo interesować, bo nic nie mówią o samym autorze notatek.

Tylko dwa ważne wydarzenia miały miejsce w ciągu pierwszych kilku miesięcy pobytu Cooka na pokładzie „Eagle”. Nim upłynął miesiąc od 17 czerwca, został awansowany na asystenta oficera nawigacyjnego\*. Widać więc wyraźnie, jak szybko doceniono jego umiejętności nawigacyjne, znajomość sztuki morskiej i odpowiedzialność. Niedługo później kapitan „Eagle”, spokojny dżentelmen, który przedkładał uroki przytulnego Portsmouth nad zimowe sztormy na kanale La Manche, został uwolniony od trudów dowództwa. Zastąpił go kapitan (później sir) Hugh Palliser.

Był to niezwykle człowiek i już wkrótce miał tego dowieść. Błyskotliwy żeglarz i taktów walki na morzu, głęboko szanowany przez swych zwierzchników, sir Hugh Palliser został potem gubernatorem Nowej Fundlandii i Lordem Admiralem Admiralicji. Mimo tych zasług szybko by pewnie o nim zapomniano, zwłaszcza że Cook przesłonił go swą wielkością, gdyby nie fakt, że to właśnie Palliser jako pierwszy dostrzegł geniusz i przeznaczenie Cooka. Mówił o tym głośno i dobitnie wszystkim wielkim w marynarce, którzy chcieli go słuchać. I nawet pod koniec swojego życia, kiedy miejsce Cooka w historii było już pewne, wciąż głosił wiarę w jego wielkie przeznaczenie. Sir Hugh Palliser musiał być człowiekiem o niezwyklej doprawdy spostrzegawczości.

Cook pozostał na „Eagle” od lata 1755 roku do jesieni 1757 roku. Wojna siedmioletnia zaczęła się w 1756 roku, ale jej wypowiedzenie było jedynie potwierdzeniem już istniejącego stanu rzeczy. Z wyjątkiem chwil kiedy okręt potrzebował pilnych napraw — pogoda na kanale i w Zatoce Biskajskiej wyrządziła brytyjskim okrętom więcej szkód niż francuskie okręty wojenne — „Eagle” prawie cały czas blokował wybrzeże Francji. Była to raczej nieciekawa i monotonna służba. Raz tylko — i miał to być dla niego także ostatni raz — Cook wziął udział w prawdziwej potyczce morskiej.

Pod koniec maja w 1757 roku niedaleko Ushant zaskoczyli francuski statek ze wschodnioindyjskiej kompanii. Był to „Duc d’Aquitane”, tysiiesięćsettonowiec z pięćdziesięcioma działami na pokładzie. Po walce, która trwała czterdzieści minut, Francuz został poważnie uszkodzony i wzięty w niewolę, jednak i „Eagle” był w bardzo złym stanie i musiał zawrócić do Anglii.

Dla naszego zrozumienia charakteru Cooka nie są jednak ważne okazjonalne potyczki z wrogiem, jakie zdarzały się w tym okresie, ale fakt, że właśnie wtedy Cook doskonalił swoje umiejętności, wykorzystywał te wyjątkowe zdolności, które tak bardzo przysłużyły mu się później. To prawda, że w dalszym ciągu nie był jeszcze dobrym kartografem, a lata, kiedy osiągnął szczyt w tej sztuce, miały dopiero nadejść; ale w pełni już opanował wiedzę o statkach i morzu. Najlepszym na to dowodem jest trzykrotny awans w ciągu zaledwie dwóch lat, ze starszego marynarza na asystenta oficera nawigacyjnego, następnie na bosmana i w końcu na asystenta kapitana\*. Ta ostatnia funkcja zobowiązywała go do czuwania nad całym statkiem i doglądania nawigacji oraz wszystkich spraw pokładowych. Pełnił więc funkcję starszego rangą

---

\* W oryginale — master’s mate.

\* W oryginale — master — oficer bez nominacji, odpowiedzialny za nawigację

oficera bez nominacji. Jednocześnie nadal zajmował się nauką nawigacji i matematyki (w koniecznym połączeniu z astronomią). Ponieważ już przed wstąpieniem do marynarki osiągnął w tych dziedzinach pełne kwalifikacje, poziom, który teraz osiągnął, musiał być z pewnością godzien najwyższego podziwu.

Mistrzowskie opanowanie tych przedmiotów było niewątpliwie koniecznym warunkiem do wyruszenia w przyszłości na Pacyfik — gdyby Cook go nie spełnił, pewno nigdy by nie wypłynął w pierwszą podróż; naczelne dowództwo oczywiście by go nie wybrało. Nie mniej ważną rzeczą było przyzwyczajenie się do życia na morzu, życia mimo wszystko zupełnie innego od tego, które pędził pływając beztrosko na transporterach węgla. Tu, na „Eagle”, każdy marynarz był specjalistą, człowiekiem nauczonym polegać na sobie i innych, człowiekiem, w którego umyśle na stałe zakorzeniło się przekonanie, że jest jednym z ogniw łańcucha. Każdy z nich wiedział, że jedynym niewybaczalnym grzechem w ciężkich chwilach — a Cook i jego ludzie mieli znaleźć się przecież na Pacyfiku w gorszych i bardziej stresujących warunkach niż te, jakich doznał na Atlantyku — było okazać się ogniwem, które nie wytrzymało próby. Wiele, i słusznie, powiedziano już o surowości dyscypliny w marynarce. Zbyt często jednak błędnie podkreślano, że tylko żelazna dyscyplina mogła dać owoc w postaci świetnie przygotowanej załogi. Tylko złe załogi z niewłaściwymi, nieudolnymi oficerami potrzebują takiego brutalnego rygoru. Dobre załogi i dobrzy oficerowie, wszyscy doskonale wyszkoleni, wymagają jedynie takiej subordynacji, która bierze się z potrzeby istniejącej w nich samych. Jest oczywiste, że o takiej właśnie załodze myślał Cook.

27 października 1757 roku Cook został przeniesiony na sześćdziesięciodziałowy „Pembroke” jako asystent kapitana. Akurat tego dnia przypadały jego dwudzieste dziewiąte urodziny. Przez prawie całą zimę nowy statek Cooka brał udział w blokadzie w Zatoce Biskajskiej. W lutym 1758 roku wypłynęli do Kanady.

Brytyjczykom źle się wiodło w wojnie na kontynencie północnoamerykańskim. Armie generała Braddocka stale nękali Francuzi i Indianie. Dowództwo uznało za absolutnie konieczne, żeby ulżyć koloniom na wschodnim wybrzeżu dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. W tym celu trzeba było przypuścić atak na Francuzów na północy, głównym obiektem miał być Ouebec, francuskie centrum wojskowe.

Brak dowodów na to, że Cook brał udział w pierwszej części tej operacji, a było nią zdobycie potężnej fortecy Louisburg, która strzegła bram do Zatoki Świętego Wawrzyńca. Twierdzę zdobył generał Wolfe. Zginął w następnym roku podczas zdobycia Ouebec, które nastąpiło po ciężkich walkach i długim oblężeniu. Lecz Cook odegrał także rolę w kampanii o Ouebec. Nie była to może rola pierwszoplanowa, ale niemniej bardzo ważna dla powodzenia całej operacji.

Miało to miejsce mniej więcej dziesięć miesięcy po zdobyciu Louisburga. Armia Wolfe’a, choć zwycięska, została nieźle poharatana i musiała czekać na posiłki z Anglii. Dowództwo marynarki postanowiło skorzystać z możliwości reperacji statków podczas zimy w Halifaxie. Na początku maja 1759 roku pierwsze oddziały sił brytyjskich dotarły do Zatoki Świętego Wawrzyńca i wkrótce znalazły się w odległości kilku mil od Ouebec.

Tu natknęli się na ogromną, ale spodziewaną przeszkodę. Do tego momentu można było żeglować bez większych trudności, ale tutaj stawało się to niebezpieczne. Miejsce przecięcia rzeki jest znane pod nazwą Traverse i, jeśli chodzi o niebezpieczeństwo, ma niewiele równych sobie na świecie. Jest to zdradliwy labirynt skał, płycizn i ruchomych progów piaskowych. Prawdziwa udręka nawigatora. Oczywiście jeśli droga przez kanał nie jest dokładnie wytyczona bojami.

Tego dnia w maju 1759 roku nie była oznaczona. Wcześniej była, ale Francuzi z zupełnie zrozumiałych względów usunęli je co do jednej. Cookowi i kilku innym oficerom tej samej rangi



przypadło w udziale wykreślić mapę tego miejsca i postawić nowe boje. Było to trudne i wyczerpujące zadanie. Praca trwała kilka tygodni i odbywała się w zasięgu nieprzyjacielskich dział, często nocą. Francuzi mieli też zwyczaj pod osłoną ciemności wypływać ze swojego brzegu w czółnach i odcinać świeżo postawione boje. Następnego dnia trzeba więc było stawiać kolejne, po oczywiście od nowa wykonywanych pomiarach głębokości rzeki.

Ale na początku czerwca wszystko wreszcie było gotowe. W ciągu miesiąca cała brytyjska armada pokonała Traverse bez najmniejszego uszczerbku. Nie ma wątpliwości, że przede wszystkim Cook został uhonorowany za ten sukces, w oficjalnych meldunkach wspomniano teraz, że pełni funkcję oficera inspekcyjnego. Za oznakę szacunku, jaki już wtedy go otaczał, można uznać fakt, że generał Wolfe konsultował z nim sprawę rozmieszczenia niektórych statków przed atakiem na Quebec. Generał szukał rady u człowieka, który nie był nawet oficerem! Ale Wolfe bez wątpienia potrafił rozpoznać eksperta.

Po oblężeniu i zdobyciu Quebec — Cook nie brał w nich bezpośredniego udziału — większość statków, w tym „Pembroke”, zostało odesłanych do Anglii w celu wykonania niezbędnych napraw. Cook musiał odczekać jednak kolejne trzy lata, żeby zobaczyć Anglię, został bowiem przeniesiony na „Northumberland”, okręt flagowy lorda Colville, głównodowodzącego. Był to niezbity dowód, że uważano teraz Cooka za najwyższej wykwalifikowanego asystenta kapitana w całej flocie.

Przez te trzy lata, na osobistą prośbę admirała Colville’a, Cook nadal kreślił mapy, najpierw Zatoki Świętego Wawrzyńca, a potem wybrzeża Nowej Fundlandii. Z opisu trzech zdarzeń wynika jasno, że musiał perfekcyjnie wypełniać swoje obowiązki. W styczniu 1761 roku lord Colville rozkazał skarbnikowi „wyplacić 50 funtów asystentowi kapitana okrętu »Northumberland« w uznaniu zasług w nie słabnących wysiłkach ku osiągnięciu mistrzostwa w pilotażu okrętów Zatoką Świętego Wawrzyńca”. W następnym roku admirał Colville wysłał wykonane przez Cooka mapy do Anglii. Zachęcał naczelne dowództwo do ich publikacji i dodawał: „Doświadczyłem geniuszu i umiejętności pana Cooka i uważam, że posiada świetne kwalifikacje do pracy, którą wykonuje, a także do większych przedsięwzięć w tym rzemiośle”. Była to prorocza opinia. W końcu mapy kartograficzne Cooka ukazały się w 1775 roku w „North American Pilot” i miały pozostać wzorem dla żeglujących poprzez te wody przez ponad sto lat.

Cook powrócił do Anglii w listopadzie 1762 roku. W grudniu pojął za żonę Elizabeth Batts. Wielu historyków fakt ten wprawiał w ogromne zdumienie, bo cokolwiek można by powiedzieć o Cooku z pewnością nie był ognistokrwistym galantem. Trudno więc zaakceptować, że ten spokojny, ostrożny i rozważny człowiek rzucił się w wir uwodzicielskich zabiegów. Z drugiej strony wiadomo, że Cook niezbyt, ujmując to łagodnie, lubił pisać o sobie. Równie dobrze mógł więc znać Elizabeth Batts od kołyski. Tak czy inaczej domysły te są zupełnie bezsensowne, bo niestety pani Cook także i po ślubie nie zajmuje wiele miejsca w zapiskach męża. Mówię niestety, bo więcej informacji o niej pozwoliłoby nam na pewno na lepsze poznanie jego charakteru. Nic jednak o niej nie wiemy, podobnie jak o ich dzieciach. Są jak przesuwane się gdzieś w tle cienie, ludzie bez własnych twarzy i osobowości. Są tylko imionami.

Następne pięć lat życia Cooka upłynęło w miarę spokojnie. W ciągu tego okresu nie wydarzyło się nic szczególnego. Nadal uczył się i poszerzał swój i tak ogromny zasób wiedzy i doświadczenia. Wiosną 1763 roku powrócił do Kanady i spędził całe lato studiując układ wschodniego wybrzeża i sporządzając jego mapy. Zimą popłynął do Anglii i przez kilka miesięcy przygotowywał mapy do publikacji. W podobny sposób minęły następne cztery lata. Cookowi powierzono też wtedy dowództwo szkunera, co miało mu pomóc w pracy. Nie oznaczało to jednak jeszcze, że został oficerem.

Zdumiewające jest, że kiedy Cook po raz ostatni opuszczał Kanadę w 1767 roku, wciąż

jeszcze nie był mianowany na oficera. Pełnił jego funkcje, ale nominacji nie dostał. Lordowie admirałowie uważali widać, kierowani snobistycznym przekonaniem, że oficerem i dżentelmenem trzeba się urodzić i wobec tego Cookowi nie należy się nominacja. Był przecież wcześniej w pogardzanej marynarce handlowej i pochodził z ubogiej i prostej rodziny. Niewielu członków Admiralicji mogło nawet wtedy wątpić, że mają w Cooku najwybitniejszego żeglarza, nawigatora i kartografa całego pokolenia. Ale nominacja? Raczej nie. Trzymali się tego przekonania, dopóki nie zdali sobie sprawy, że jeśli nie mianują go oficerem, to nie będzie wypadało powierzyć mu dowództwa statku w podróży dookoła świata. A miała to być przecież największa podróż, jaką kiedykolwiek przedsięwzięto. Po pierwsze taka decyzja podawałaby w wątpliwość kompetencje odpowiedzialnych oficerów, a ich kompetencje musiały być przecież oczywiste. Po drugie, nie wyglądałoby to zbyt korzystnie w opracowaniach historycznych. Więc późno bo późno, ale w końcu mianowano Cooka porucznikiem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### ZNIKAJĄCY KONTYNENT

Powodem mianowania Cooka był prosty i oczywisty fakt, że właśnie on był jedynym człowiekiem, któremu można było powierzyć wykonanie zadania, o jakim myśleli członkowie dowództwa. Naturalnie myśleli o nim zupełnie prywatnie, bo ogłoszone publicznie plany lordów admirałów zwykle bardzo różniły się wtedy, i różnią się nadal, od ich prawdziwych intencji.

Oficjalnie Admiralicja nie angażowała się bezpośrednio w planowaną podróż, jedynie szczerą ręką użyczała środków transportu do rejsu na Pacyfik. Cel wyprawy nie został ostatecznie określony. Miała ją podjąć grupa astronomów, którzy chcieli obserwować przejście Wenus pomiędzy Słońcem a Ziemią 3 czerwca 1769 roku. Astronomowie byli członkami, już wtedy prestiżowego, Royal Society (Królewskiego Towarzystwa\*) Poprzednie przejście Wenus miało miejsce w 1762 roku, ale wyniki obserwacji okazały się wysoce niezadowolające. Spodziewano się, że planowane obserwacje i pomiary będą przedstawiać ogromną wartość dla rozwoju nawigacji astronomicznej (Później okazało się, że wyniki badań z 1769 roku nie były wcale lepsze od tych z 1762 roku, astronomowie nie wiedzieli, że instrumenty, którymi się posługiwali, były za mało precyzyjne i zbyt delikatne).

Za tym oficjalnym powodem podróży krył się jednak zupełnie inny. Francja próbowała rozszerzyć strefę swoich wpływów i zaanektować wszystkie możliwe terytoria w rejonie Pacyfiku. Brytania nie miała najmniejszego zamiaru ustępować pola Francuzom, co z obecnej perspektywy może się wydawać trochę nie fair. Brytyjczycy dopiero co wygnali Francuzów zarówno z Ameryki Północnej, jak i z Indu i zagarnęli już na własność jedną ósmą znanego świata. Byli wtedy niepokonani w swojej ekspansyjnej polityce; im więcej mieli, tym więcej chcieli posiadać.

Kierując się polityką w tym właśnie duchu, Admiralicja wysłała w ciągu poprzednich czterech lat dwie ekspedycje w rejon Pacyfiku. Jedną z nich dowodził komandor Byron, drugą kapitan Wallis. Żadna nie zakończyła się sukcesem. Byron, szeroko znany pod pseudonimem Foul Weather Jack (Jack Psia Pogoda), zgubił się na Pacyfiku, co nie jest, prawdę mówiąc, specjalnie trudne i wrócił do Anglii bardziej dzięki ślepemu szczęściu niż umiejętnościom. Oczywiście nic nie odkrył. Wallis, wyjątkowo kompetentny żeglarz, miał pecha, bo zaskoczyła go naprawdę bardzo zła pogoda. Ale nawet mimo tych trudności zdołał odkryć Tahiti. Lordowie Admiralicji wierzyli, że Cookowi powiedzie się lepiej.

Ale nawet za tym, nieoficjalnym, powodem krył się jeszcze jeden, tym razem podstawowy. Został on powierzony Cookowi w postaci ściśle tajnych instrukcji (Instrukcje te, w bardzo krótkim czasie, poznało pół Londynu). Mówiły, ujmując to najogólniej, że Cook powinien rozglądać się za nowym kontynentem.

Wierzono w tym czasie powszechnie, że na południowej półkuli istnieje kontynent, który opasuje cały glob. Nie Antarktyka, lecz kontynent o umiarkowanym klimacie, sięgający prawie do Ameryki Południowej i Nowej Zelandii i zajmujący większość obszaru południowego Pacyfiku. Niektórzy geografowie kreślili nawet mapy tego regionu — musimy pamiętać, że dwieście lat temu nikt nie miał pojęcia, co się tam znajduje. Głównym twórcą idei takiego kontynentu był Aleksander Dalrymple, także członek Royal Society. Jego wiara w istnienie

---

\* Pełna nazwa Royal Society of London for Promotion of Natural Knowledge. Royal Society zostało założone około roku 1662 z inspiracji Karola II.

mitycznego ładu była tak obsesyjna, że stała się najważniejszą sprawą jego życia Dalrymple nigdy nie wybaczył Cookowi, że ten zniszczył jego marzenia.

Patrząc na ten, jakże skomplikowany, plan podróży możemy w pełni zrozumieć, że admirałowie nie mieli wyboru mogli brać pod uwagę jedynie Cooka Penetrację nieznanymi wód, gdzie mogły panować zupełnie zaskakujące warunki meteorologiczne, można było zlecić tylko wybitnemu żeglarzowi Był nim bez wątpienia Cook. Potrzebny był człowiek, który zawsze jest zorientowany, gdzie się znajduje, no a jeśli nie rozpoznałby tego Cook ze swoimi kwalifikacjami nawigatorskimi, to nie wiedziałby tego także nikt inny na świecie. Potrzebowali także kartografa, który potrafiłby dokładnie nakreślić linie brzegowe nowo odkrywanych ziem, i tutaj Cook nie miał sobie równego. I w końcu, o ironio, tej pseudonaukowej wyprawie potrzebny był wykwalifikowany dowódca Cook spełniał wszystkie warunki od a do z: nie tylko był zdolnym astronomem, ale naprawdę dokonał także obserwacji i zapisu przejścia planet dla Królewskiego Towarzystwa, kiedy był w Kanadzie.

Warto odnotować, że Aleksander Dalrymple, człowiek głęboko w siebie wierzący, uważał, że to on powinien objąć dowództwo ekspedycji Iluzje te zostały jednak szybko i brutalnie rozwiane, kiedy sir Edward Hawke, Pierwszy Lord Admiralicji, rąbnął pięścią w stół i poprzysiął, że wolałby stracić prawą rękę, niż powierzyć dowództwo królewskiego statku komuś, kogo nie wychowała marynarka.

Wydaje się, że decyzja co do powierzenia Cookowi dowództwa zapadła na długo przed tym, mm poproszono go o zgodę i podano nazwisko wybitnego dowódcy opinii publicznej. Wynika to jasno z wyboru statku, jakiego dokonano — był to węglowiec, taki jaki Cook poznał najlepiej w początkach swojej morskiej kariery Był to statek, którym dziś może co odważniejsi zdecydowaliby się wyruszyć z Dover do Calais, zakładając naturalnie, że prognoza pogody byłaby doskonała.

„Earl of Pembroke”, jak nazywał się wtedy wybrany statek, nie rzucał na kolana swym wyglądem Biorąc pod uwagę wielkie zadanie, jakie go czekało, był śmiesznie mały z nieproporcjonalnie szerokim dziobem, o prosto ściętej, wysoko uniesionej rufie. Pod wszystkimi żaglami i w najlepszych warunkach rozwijał maksymalną prędkość około siedmiu węzłów Był jednak bardzo solidnie skonstruowany i tak jak wszystkie transportowce z Whitby świetnie utrzymywał się na falach Zmieniono mu nazwę na „Endeavour” („Przedsięwzięcie”) „Endeavour” był bardzo szeroki miał prawie trzydzieści stóp\*, naprawdę dużo jak na statek długości niewiele ponad sto stóp — ale taki musiał być Miało się na nim zmieścić blisko sto osób i ogromne ilości zapasów i sprzętu Sama żywność przedstawiała już ogromny problem — trzeba było jej zabrać tyle, żeby wyżywić dziewięćdziesięciu czterech ludzi przez co najmniej dwa lata (Podstawowymi pozycjami diety była solona wieprzowina, suchary — przysmaki, którymi rozkoszowały się robaki — i kiszona kapusta, za pomocą której Cook toczył walkę ze szkorbutem — postrachem tropików).

Musieli też zabrać na pokład kompletny sprzęt stolarski i kowalski, duże ilości zapasowych żagli i lin, żeby móc zmienić je kilkakrotnie, tak jak to było konieczne, w trakcie tak długiej podróży Musieli mieć broń, a także amunicję, nie tylko do pistoletów, ale też do dwunastu dział obrotowych, które znajdowały się na „Endeavour” Zabrali także spore zapasy towarów przeznaczonych na handel wymienny z różnymi tubylcami, których spodziewali się spotkać, sprzęt medyczny dla lekarza okrętowego, a także masę instrumentów badawczych, potrzebnych astronomom do wykonania pomiarów przejścia Wenus. Po załadowaniu tego wszystkiego na „Endeavour” nie pozostało zbyt wiele wolnego miejsca.

---

\* 1 stopa = 0,3 metra

Załoga była taką samą przedziwną mieszaniną jak ładunek, który zabierali. Zastępcą Cooka był Zachary Hicks o wiele lat młodszy od niego, ale doświadczony Drugi oficer, John Gore, towarzyszył w podróży dookoła świata Wallisowi, który stosunkowo niedawno powrócił do Anglii. Resztą załogi stanowiło około dwunastu żołnierzy z piechoty morskiej\*, czterdziestu starszych marynarzy, kilku midszypmenów\*, urzędnicy, ośmiu służących i naturalnie ekipa badawcza wyznaczona przez Towarzystwo Królewskie.

Najważniejszym człowiekiem w tej ostatniej grupie był Joseph Banks, członek Towarzystwa, niesłychanie bogaty młodzieniec. Nie był on zwolennikiem tradycyjnych form spędzania czasu londyńskiego towarzystwa — zamiast wysiadywać w eleganckich klubach, postanowił poświęcić się przyrodoznawstwu już wtedy okazał się utalentowanym entuzjastą—botanikiem. Bez wątplenia kupił sobie udział w wyprawie. Zapłacił podobno dziesięć tysięcy funtów, prawdziwy majątek w tamtych czasach. Słono kosztował go ten przywilej, ale Banks nie traktował wyprawy jedynie jako świetnej zabawy. Wykazał się całkowitym poświęceniem wybranej dziedzinie nauki, a później został Przewodniczącym Royal Society. Piastował ten urząd przez prawie pięćdziesiąt lat i przez cały czas był niewątpliwym królem świata nauki w Wielkiej Brytanii.

Banks zabrał ze sobą doktora Carla Solandera — sławnego szwedzkiego botanika, Aleksandra Buchana — pejzażystę Sydneya Parkinsona — artystę, który miał rysować wszystkie okazy fauny, jakie udałoby się im złowić, i człowieka nazwiskiem Sporing — sekretarza naukowego. Niezależnie od grupy Banksa, na wyprawę wyruszył oficjalny astronom Royal Society, Charles Green. Wspólnie z Cookiem miał być odpowiedzialny za obserwację przejścia Wenus.

Cały skład załogi uzupełniała koza. Nie była to jednak zwykła koza — wypłynęła już przedtem w podróż z Walhsem i szczęśliwie z niej powróciła. Przypadło jej zadanie zaopatrywania oficerów w świeże mleko.

Ale nawet najlepiej wyposażonej w zapasy i ludzi ekspedycji, jaka kiedykolwiek opuściła Anglię, musiało się coś przydarzyć. Okazało się, że mężczyzna wyznaczony na szefa kuchni nie ma jednej nogi — jak na człowieka morza duży mankament. Zrozumiałe, że zdenerwowany Cook zażądał, żeby zastąpiono go kimś innym. Dostał więc innego kucharza, tym razem z jedną ręką.

W trakcie przygotowań do wyprawy członkowie Admiralicji i Royal Society studiowali raport Wallisa. Royal Society zwróciło się z prośbą do Admiralicji, żeby ekspedycja, po dotarciu na Tahiti, dokonała obserwacji i pomiarów przejścia Wenus. Uzyskali zgodę, częściowo może dlatego, że Tahiti była jedną z niewielu wysp na Pacyfiku o dość dokładnie znanej długości i szerokości geograficznej. Głównie stało się tak jednak dlatego, że, jak można podejrzewać, Admiralicji było absolutnie wszystko jedno, w którą stronę Pacyfiku wyruszy Cook. Byle tylko natychmiast po zakończeniu obserwacji przejścia popłynął na południe w poszukiwaniu mitycznego kontynentu.

„Endeavour” wypłynął z Plymouth w sierpniu 1768 roku. Do Madery dotarli 13 września. Podróż minęła bez komplikacji. Dopiero przy wchodzeniu do portu wydarzył się tragiczny wypadek. Kiedy rzucali kotwicę, w liny zaplątał się asystent oficera nawigacyjnego. Waga kotwicy ściągnęła go na dno portu. Kiedy udało się wyciągnąć z powrotem linę, już nie żył. Jego śmierć nie wywarła szczególnie przygnębiającego wrażenia na załodze, co wydaje się dość charakterystyczne dla tych czasów. Nie znaczy to wcale, że nie ceniono wtedy ludzkiego życia.

---

\* W oryginale — marines. Pierwsze oddziały brytyjskich marines powstały w 1664 roku. Początkowo ich zadaniem było szkolenie marynarzy dla marynarki królewskiej.

\* Midshipman — kandydat na oficera. Nazwa pochodzi od miejsca, gdzie znajdowały się ich kwatery (midship), pomiędzy kabinami oficerów a szeregowych marynarzy.

Po prostu śmierć przyjmowano ze stoickim spokojem, nieznanym dziś w kulturze Zachodu. Zwłaszcza marynarzom pływającym w tropikach śmierć jawiła się jako nieunikniona część życia. Kapitan statku, który odbył podróż w rejon Pacyfiku, mógł uważać się za szczęściarza, jeśli w czasie rejsu śmiertelność załogi nie przekroczyła dwudziestu pięciu procent.

Na Maderze zaopatrzyli się w duże ilości świeżej wody i wina — jeśli wziąć pod uwagę ilości rumu i wina przypadającego na głowę marynarza, można by się dziwić, że załoga Cooka dotarła dalej niż do wyspy Wight, a co dopiero mówić o podróży dookoła świata. Zabrali też na pokład zapas owoców, warzyw, cebuli i świeżej wołowiny. Cook, w walce ze szkorbutem, słusznie stawiał na taką dietę, urozmaiconą jeszcze kiszoną kapustą. Nalegał też, żeby jego załoga to wszystko jadła. W czasie tej podróży po raz pierwszy zastosował karę, kiedy odkrył, że dwóch członków załogi złamało dietę — nie chcieli jeść świeżego mięsa. Cook kazał ich obu wychłostać. Choć kara może wydawać się zbyt surowa za tak niewielkie przewinienie, raporty o stanie zdrowia załogi świadczyły, że miał rację. Na żadnych statkach na świecie nie odnotowano w tym czasie mniejsze] liczby chorych na szkorbut. Załogi pod dowództwem Cooka miały zdecydowanie najlepsze wyniki.

Przekroczyli równik, kierując się ku wybrzeżu Ameryki Południowej Banks i jego koledzy byli stale zajęci. Używając sieci, lin i pistoletów złowili ogromne ilości morskich i powietrznych form życia. Wszystkie okazy znoszono do wielkiej kabiny na górnym pokładzie: tam naukowcy spędzali długie godziny preparując je, krojąc, zabezpieczając, klasyfikując i rysując. Kiedy później „Endeavour” zarzucał gdzieś kotwicę, botanicy przynosili z lądu tak wiele nieznanymi okazów flory, że ich praca nie ustawała od świtu do nocy.

Kiedy „Endeavour” płynął w dół wybrzeża Ameryki Południowej Cook zdecydował się zatrzymać w Rio de Janeiro (wtedy jeszcze tylko osadzie) i zabrać nowe zapasy świeżej wody i żywności. Była to ostatnia możliwość uzupełnienia zapasów. „Sądząc po przyjęciu, z jakim spotkały się tutaj poprzednie statki — pisał Cook — nie wątpię, że nas także mile powitają”.

Bardzo się pomylił. Wysłał na brzeg swego pierwszego oficera, lecz kiedy Hicks postawił stopę na lądzie, został natychmiast aresztowany. Zbrojni żołnierze weszli na pokład „Endeavour” i bardzo dokładnie wypytali Cooka o cel jego przybycia do Rio. Wkrótce stało się jasne, że ani przesłuchujący, ani sam wicekról nawet przez moment nie wierzyli, że mają do czynienia ze statkiem marynarki królewskiej. Prawdę mówiąc, nie można ich za to winić. Trzeba by długo szukać statku, który mniej wyglądał na reprezentanta marynarki królewskiej niż „Endeavour” — węglowiec z Morza Północnego. W oczach urzędników musieli więc wyglądać na piratów, szmuglerów, handlarzy zakazanym towarem lub po prostu na szpiegów. Portugalczycy uznali dokument potwierdzający królewską nominację Cooka na oficera za sfałszowany, a jego wyjaśnienia o obserwacji przejścia Wenus wcale ich nie rozbawiły i nie nastawiły przyjaźnie — pewnie dlatego, że nie mieli pojęcia, o czym Anglik mówi.

W końcu Cookowi udało się uwolnić Hicksa i uzyskać pozwolenie na zabranie wody i zapasów na pokład. Ładowanie odbywało się w atmosferze oscylującej między zbrojną neutralnością a jawną wrogością. Żadnemu z członków załogi, poza Cookiem, nie pozwolono zejść na ląd. Tylko Banks i jego dwóch służących, niewątpliwie za odpowiednią łapówkę, po kryjomu wyprawiło się na brzeg. Z tych wycieczek przynieśli kilkaset okazów botanicznych.

Wrogiemu przyjęciu, jakiego doznali od Portugalczyków, sprzyjała nawet pogoda. Wzmógł się wiatr, co znacznie opóźniło moment opuszczenia Rio. Musieli tkwić tam przez dwadzieścia cztery dni. Interesujące, że Cook, ten zwykle tak opanowany i spokojny człowiek — można by nawet powiedzieć, że nienormalnie opanowany — potrafił wpaść w furję, jak każdy inny. Dowodzą tego najlepiej jego listy do Admiralicji, w których opisywał, co przydarzyło się jego załodze.

Wyłynęli z Rio 7 grudnia. Dzień Bożego Narodzenia spędzili gdzieś w połowie drogi pomiędzy Rio de Janeiro a przylądkiem Horn. Z notatek Cooka i Banksa widać jasno, że załoga „Endeavour” nie pozwoliła, żeby odległość dzieląca ich od domów i najbliższych przeszkodziła w tradycyjnych świątecznych obchodach. „Boże Narodzenie! — pisał Banks. — Wszyscy dobrzy chrześcijanie, a więc i wszyscy marynarze, potwornie się popili. W nocy nie było jednego trzeźwego człowieka na pokładzie. Chwała Bogu, że wiatr był lekki, bo inaczej nie wiadomo, co mogłoby nas spotkać”. Cook zadowolili się krótką notatką. „Jako że wczoraj był dzień Bożego Narodzenia, ludzie nie byli zupełnie trzeźwi”. Ponieważ normalna dzienna dawka płynów — lub raczej alkoholu — na jednego członka załogi składała się z takiej ilości lekkiego piwa, jaką tylko mogli w siebie wlać i dodatkowo albo pół litra wina, albo ćwierć litra rumu lub brandy, możemy sobie jedynie wyobrazić, jakie sceny musiały się rozgrywać na pokładzie „Endeavour” 25 grudnia 1768 roku.

To był jeszcze jeden aspekt charakteru Cooka’ czasami potrafił być bardzo tolerancyjny. Wyznawał zasadę twardej dyscypliny, ale nie był bezwzględny choć zdarzyło mu się obciąć uszy podwładnemu, który dopuścił się jakiegoś wyjątkowo poważnego wykroczenia. Lecz kiedy sprzyjały okoliczności załodze nie groziło żadne niebezpieczeństwo i nie trzeba było trwać w bezustannej czujności, Cook pozwalał swoim ludziom się zrelaksować. Naturalnie om wypoczywali w jedyny znany im sposób, a Cook udawał wtedy, że nic nie widzi i nic nie słyszy. Kiedyś zrelaksowali się jednak do tego stopnia, że dowódca zdecydował się wysadzić ich wszystkich na brzeg i odczekać, aż znowu będą w stanie podjąć obowiązki.

Opinii publicznej tamtych czasów i następnym pokoleniom Cook jawił się jako twardy, chłodny, zamknięty w sobie człowiek. Dla swoich oficerów i marynarzy był ucieleśnieniem cech ojcowskich. Szanowali go i uwielbiali. Pięć lat później, kiedy Cook zapadł na poważne zapalenie woreczka żółciowego, członkowie załogi (dowodził wtedy statkiem „Resolution”) mówili o atmosferze lęku i zagrożenia, którą wszyscy odczuwali. Kiedy w końcu blady i schorowany pojawił się na pokładzie, pewien marynarz odnotował, że na wszystkich twarzach, od pierwszego oficera po chłopca okrętowego, widać było radość i ulgę. Warto zauważyć, że słowa te napisał notoryczny „przestępca” okrętowy, wiele razy karany chłostą za pijaństwo na służbie i próby dezercji na różnych wyspach Pacyfiku. Asystent chirurga z „Resolution” zapisał po śmierci Cooka: „W żadnej sytuacji nikt nie mógł się z nim równać; na niego zwrócone były oczy wszystkich, był naszą gwiazdą przewodnią. Kiedy ta gwiazda znikła, zostaliśmy pogrążeni w ciemności i rozpacz”.

Pogoda zaczęła się stopniowo pogarszać. Zbliżali się do przylądka Horn. Temperatura spadała i załoga kuliła się w swoich sztormiakach Fearnought, szukając schronienia przed lodowatym wichrem, który rzucał „Endeavour” zupełnie jakby statek był kawałkiem drewna. Zbyt mało mówiło się do tej pory o ciężkich warunkach, jakich doświadczały załogi w tamtych czasach na takich statkach jak „Endeavour” Wachty były długie, praca bardzo ciężka, pomieszczenia, w których przebywali i spali, przeraźliwie zatłoczone, a dieta z solonej wieprzowiny i robaczywych sucharów wprost niemożliwa do opisanego. Brak na to słów. Ale najgorszy był stan nieustającego wyczerpania. Prawie nigdy nie mieli chwili wytchnienia. Bez przerwy stawiali żagle, zwijali żagle, zmieniali kurs i ciężko harowali przy tysiącu innych prac. Byli zziębnięci, wymęczeni, głodni i mimo tego musieli stale być czujni, ciągle stawiać czoło jakiejś trudnej sytuacji. Każdy, kto spędził przynajmniej kilka godzin na pokładzie przy złej pogodzie, wie, jak szybko wyczerpują się wtedy zasoby energii. Czasami załoga „Endeavour” musiała się zmagać ze sztormami przez całe tygodnie, czasami przebywali na morzu miesiącami i kiedy pod koniec podróży albo tylko jakiegoś jej etapu zawijali do portu, znajdowali się zawsze w stanie skrajnego wyczerpania. Pewnego razu, gdy przybyli do Cape Town po wyjątkowo strasznym rejsie,

wyczołgali się na ląd — zdolni do jeszcze jednego wysiłku, byle tylko postawić nogę na ziemi — po czym padli przy jakiejś drodze i zasnęli twardym snem. Nic więc dziwnego, że kiedy tylko schodzili na ląd po długiej podróży, kapitan Cook pozwalał swoim ludziom na ich tradycyjny relaks, żeby doszli do siebie i odzyskali choć trochę sił.

Musimy pamiętać, że to lodowate zimno dopadło „Endeavour” w samym środku stycznia, a więc na południowej półkuli w porze letniej. Trzeba też pamiętać, że dużo później, przy okazji innej wyprawy, Cook zbliżył się o dalsze tysiąc mil do bieguna południowego. Po prostu nie do wiary.

W okolicach przeraźliwie ponurej Ziemi Ognistej, najdalej wysuniętej na południe wyspy kontynentu amerykańskiego „Endeavour” znalazł się 12 stycznia 1769 roku. Na prośbę Banksa — tak, żeby on, Banks, i jego koledzy naukowcy mogli zejść na ląd i zebrać okazy botaniczne — Cook zapuścił się w zatoczkę, którą nazwał Bay of Good Succes (Zatoka Powodzenia). Cook stał się specjalistą od nadawania nazw. Z całą pewnością nazwał więcej miejsc niż jakikolwiek inny człowiek. Zatoki, zatoczki, rzeki, skarpy, przylądki, góry, wyspy — wystarczyło mu tylko raz spojrzeć i już mógł nadawać nazwę. Tak się jakoś raczej mało szczęśliwie złożyło, że uważał za stosowne chrzcic większość swoich odkryć nazwiskami prawie wszystkich najbardziej wpływowych brytyjskich rodzin arystokratycznych. Sam Cook nigdy nie wspomniał o swoich politycznych przekonaniach czy preferencjach i z pewnością nie musiał tego robić. Nazywał więc kolejne odkryte miejsca nazwiskami lordów admirałów i innych swoich wpływowych patronów. Ale cóż, musiał skądś brać te nazwy. Większość nazw nadawanych przez Cooka pozostała — wyjątkiem jest tylko kilka wysp na Pacyfiku, które powróciły do swoich pierwotnych nazw. Zakrawa na smutną ironię, że miano nadane przez niego jednemu z najstarszych odkryć, grupie wysp na północnym Pacyfiku, nie przetrwało, lecz zostało zmienione na oryginalne. Cook ochrzcił te wyspy Wyspami Sandwich. Obecnie są znane pod swą pierwotną nazwą to Hawaje. I to właśnie tam miała spotkać Cooka śmierć.

Banks i jego towarzysze zeszli na brzeg i powrócili wieczorem, ogromnie podnieceni i uradowani, niosąc ze sobą wiele okazów przyrodniczych zupełnie nieznanymi w Europie. Dwa dni później Banks sprowadził na ląd dwunastu ludzi. Chciał dotrzeć do niskich gór, które znajdowały się kilka mil w głąb wyspy. Posuwali się jednak naprzód bardzo powoli, napotkali bagna i nie dotarli jeszcze do celu, kiedy niebo zaciągnęło się chmurami i zaczął padać śnieg. Wtedy Aleksander Buchan, pejzażysta, dostał ataku padaczki. Nie było nigdy żadną tajemnicą, że Buchan jest epileptykiem i nigdy nie dowiemy się, dlaczego pozwolono mu wyruszyć w tę podróż. Zajęli się więc nim i rozpalili ognisko, żeby nie czuł zimna. Banks i trzech jego towarzyszy ruszyło dalej. Dotarli do wzgórz, przeżyli naprawdę wielki dzień kolekcjonerów okazów i wrócili do miejsca, gdzie została reszta dwunastki. Buchan czuł się o wiele lepiej, więc Banks zdecydował natychmiast wracać na „Endeavour”

Niestety, śnieg zaczął teraz mocno padać i znowu musieli iść naprzód bardzo powoli. Dopiero następnego ranka wrócili na statek. W nocy zmarło dwóch Murzynów, służących Banksa. Przyczyną ich śmierci był nie tyle brak wytrzymałości na zimno, co fakt, że podczas nieobecności naukowca wypili oni cały zapas rumu, jaki zabrała ze sobą ekspedycja.

„Endeavour” płynął dalej przez Le Maire Strait i wokół Hornu. Nie musieli się przedzierać przez wielkie jak góry fale, z czym zwykle kojarzy się opływanie tego przylądka. Pogoda bardzo się poprawiła, świeciło słońce, morze było spokojne, więc Cook wiedząc, że nic im nie grozi, powoli opływał przylądek. Dokonywał pomiarów, kreślił mapy i dokładnie sprawdzał i wyznaczał szerokość i długość geograficzną.

Dzień, w którym okrążali przylądek Horn, był bez wątpienia wielkim dniem i ogromnie ważnym wydarzeniem w historii Pacyfiku. Zmienił bieg historii tego rejonu. Czy zmiana była na



lepsze czy gorsze — większość ludzi powiedziałyby, że na gorsze, a ja całym sercem zgodziłbym się z nimi — nie ma to specjalnego znaczenia, jeśli chodzi o wyprawy wielkiego odkrywcy. Sam Cook jednak często z lękiem twierdził, że w ślad za białym człowiekiem postępowały na opanowane przez niego tereny zepsucie, degradacja i tragedia. Z całą pewnością od 24 stycznia 1769 roku Ocean Spokojny nigdy już nie miał być taki jak dawniej.

Naturalnie inni przemierzali te wody już przed Cookiem. Byli tu Drake i Quiros, ale ich pobyt nie pozostawił żadnego śladu. Elegancki, zabójczy Bougainville, francuski żeglarz i poszukiwacz przygód, który prześlizgnął się przez brytyjską blokadę Rzeki Świętego Wawrzyńca, kiedy Cook tam był, dotarł do Tahiti i zatrzymał się tam na krótko, po czym ruszył dalej. Także Tasman pojawił się na tych wodach od zachodniego lub australijskiego (wtedy New Holland) krańca. Komandor Byron, Jack Psia Pogoda, przepłynął przez Pacyfik nie napotkawszy żywej duszy, trudno więc go brać pod uwagę. Na Tahiti był też Wallis.

Teraz po raz pierwszy na Pacyfik wpłynął człowiek, który dokładnie potrafił znaleźć drogę tam, gdzie chciał dotrzeć, który po opuszczeniu jakiegoś miejsca mógł dokładnie określić, gdzie był. Był to człowiek, któremu przeznaczone było podbić Pacyfik, dotrzeć do miejsc, o których nie śniło się wcześniejszym badaczom, odkryć więcej wysp i ludów niż wszyscy jego poprzednicy razem wzięci i pozostawić na nich piętno białego człowieka. Oto był człowiek, jak powiedzieliby cynicy, który miał otworzyć na oścież wrota Pacyfiku na bogactwa i dobre strony nowożytnej zachodniej cywilizacji. Napisano już tomy, które w oględny sposób potępiały Cooka jako odpowiedzialnego za wszystkie krzywdy, które wyrządzono temu rejonowi. Lecz, mimo że niektórzy ludzie piszą książki, nie znaczy to jeszcze, że nie mogą być głupi. Ci autorzy byli po prostu niemądrzy. Jeśli nie dotarłby tam Cook, zrobiłby to ktoś inny. Czy można być na tyle naiwnym, by wierzyć, że gdyby Cook się nie urodził, Pacyfik byłby w dalszym ciągu nietknięty? Że nie wytyczono by na nim szlaków morskich, że może by go nie odkryto? Przyszedł właściwy czas i ślepy los pociągnął Cooka za rękaw, to wszystko.

„Endeavour” płynął spokojnie na północny zachód. Pogoda była świetna i prawie nic nie mąciło monotonii podróży. Prawie nic, bo pewnego dnia młody marynarz znalazł się za burtą i utonął. Ludzie mówili, że został przyłapany na kradzieży kawałka foczej skóry, z której chciał zrobić woreczek na pieniądze i papiery. Wolał wyskoczyć za burtę i w ten sposób popełnić samobójstwo niż stanąć przed obliczem Cooka. Jest to jednak dosyć mało prawdopodobna historia.

Osiem miesięcy po wyruszeniu z Anglii, 13 kwietnia 1769 roku, „Endeavour” zawinął na Tahiti. Na pokładzie, co zdumiewające, nie mieli ani jednego chorego, ani jednego przypadku szkorbutu. W tamtych czasach taki stan zdrowia załogi, po ośmiu miesiącach w morzu, był doprawdy niewiarygodnym osiągnięciem. Była to w całości zasługa diety Cooka. W pierwszym rzędzie kiszona kapusta broniła przed szkorbutem i innymi chorobami. Cook sam odnotował w dzienniku, że na początku miał ogromne trudności ze zmuszeniem swoich ludzi do jedzenia tego tak niebrytyjskiego, obcego dania. Rozwiązał problem w prosty sposób. Namówił swoich oficerów, żeby jedli kiszoną kapustę z ogromnym apetytem, przy wtórze głośnych i pełnych zachwyty uwag. Niektórzy marynarze odważyli się więc spróbować i później jedli już bez opamiętania, aż wreszcie Cook musiał racjonować zapasy.

Możemy się trochę dziwić, dlaczego nie wypróbował tej samej formy psychologicznej perswazji na tych dwóch marynarzach, których kazał wychłostać na Maderze za odmowę jedzenia świeżego mięsa. Prawdopodobnie do fortelu z kapustą skłoniła go praktyczna niemożność wychłostania całej załogi.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### MAPA NOWEJ ZELANDII

Zauważyłem, że biografowie kapitana Cooka zatrzymują się zwykle narracją na jakieś dwadzieścia stron, kiedy opisują pierwsze lądowanie na Tahiti. Stało się to prawie obowiązkiem, a w każdym razie na pewno ściśle przestrzegany obyczajem. Te wstępne dwadzieścia stron poświęcają zwykle pełnym uniesień opisom przesiąkniętego słońcem tropikalnego raj. Rozpływają się nad porażającą urodą błękitnego nieba i jeszcze bardziej błękitnego morza, białych, pianistych wodospadów spadających z porośniętych lasami stoków górskich, kołyszących się w lekkiej bryzie palm i nad opisem złocistych piasków. (Tak naprawdę, kiedy Cook zawinął do Matavai Bay [Zatoki Matavai], plaże na Tahiti były czarne). Wypada też najwyraźniej rozwodzić się w sentymentalny sposób nad cudownymi ludźmi, którzy zamieszkiwali ten drugi Eden, nad przystojnymi mężczyznami, wspaniałymi dziewczętami oraz ich otwartym i serdecznym stosunkiem do ludzi. Krótko mówiąc, trzeba wysławiać ich sposób życia rodem prosto z utopii lub sielanki.

Generalnie nie mam nic przeciwko takiemu przedstawianiu ówczesnej tahitańskiej rzeczywistości. Trzeba by tylko jeszcze dodać, że ci złoci chłopcy i dziewczęta uprawiali dzieciobójstwo, mordy rytualne, toczyli krwawe i wyniszczające wojny plemienne w rejonie Polinezji, a także zabawiali się kradzieżą i złodziejstwem kieszonkowym na taką skalę i z takim doświadczeniem i talentem, że widząc ich przy pracy sławny złodziej Fugin niewątpliwie straciłby całą wiarę w swoje umiejętności. Ale, jak już powiedziałem, nie mam nic przeciwko tamtym idyllicznym obrazkom. Są przyjemne, tyle że zupełnie bez znaczenia. Wystarczyłoby tylko nakreślić historyczne tło i nie trzeba do tego żadnego mistrza — ani Rembrandta, ani Turnera. Przewodniki turystyczne robią to wystarczająco dobrze. Co więcej, każdy ma naturalnie swoje własne wyobrażenie o Tahiti, tej najbardziej romantycznej wyspie świata. Jeśli ktoś o niej nie słyszał, znaczy to, że jest analfabetą i tak czy inaczej nie będzie czytał także tej książki. Poczytajmy więc sobie o Tahiti.

Natychmiast po rzuceniu przez „Endeavour” kotwicy w Zatoce Matavai, od brzegu odbiły setki canoe i otoczyły statek. Tubylcy byli weseli, przyjaźni, tryskający radością życia i przystrojeni w przepiękne barwy. Cook odniósł się do nich nieufnie. Gore, jego drugi oficer, który pływał z Wallisem na statku „Dolphin” i był na Tahiti dwa lata wcześniej, ostrzegł go, że Polinezyjczycy potrafili szybko zmieniać nastroje. Bywali też podstępni i zdrażliwi; kiedy dwie łodzie z „Dolphina” dobiły do brzegu, tubylcy zaatakowali ich kamieniami i włóczniami. Wallis musiał wtedy kazać strzelać do Tahitańczyków. Jeden z krajowców zginął, inni zostali ranni. Nawet wtedy Anglików dalej nękały tysiące ludzi na setkach łodzi. Tahitańczycy poddali się dopiero, kiedy marynarze z „Dolphina” wylądowali przy wsparciu dział okrętowych.

Ale radosny naród, który wypłynął na powitanie „Endeavour” w niczym nie przypominał wojowniczego przyjęcia „Dolphina”. Wódz plemienia, O’whaha (ta pisownia jego imienia wydaje się tak samo dobra jak każda inna, zwłaszcza że każde z tubylczych imion zapisywano na tysiąc sposobów) dostrzegł i rozpoznał Gore’a. Powitał go serdecznie. Od tego momentu byli już pewni dobrego przyjęcia.

Pierwsze dwa dni upłynęły na poznawaniu poszczególnych części wyspy, wodzów plemienia i ich ludu. Po ustaleniu zasad handlu wymiennego Anglicy zaopatrzyli się w zapasy świeżej żywności. Nauczyli się też trzymać ręce w kieszeniach — w przeciwnym razie ich zawartość zniknęła w mgnieniu oka.

Cook zdecydował, że obserwatorium astronomiczne będzie się znajdowało na brzegu. Dawało to możliwość robienia pomiarów ze stałego gruntu w o wiele wygodniejszych warunkach niż na zatłoczonym „Endeavour”. Na obserwatorium wybrał płaski, piaszczysty, wysunięty w morze fragment wyspy na północno–zachodnim końcu Matavai Bay. Miejsce to nazwano później fortem. Ta lokalizacja miała dwa zasadnicze plusy: w razie jakiś kłopotów z tubylcami mogły go bronić działa „Endeavour”, a wpadająca tuż obok do morza rzeka Vaipupu dostarczała świeżej wody.

Dwa dni po przybyciu, 15 kwietnia, Cook zabrał swoich ludzi na wybrane miejsce. Wymierzyli teren i zaczęli budowę. Całość była dość prymitywna: z trzech stron fort okopano wałami ziemnymi z drewnianą palisadą na szczycie. Użyli na nią drzew z pobliskich lasów. Od wschodu, od strony rzeki dostępu broniły beczułki. Zrobili bramę, a wewnątrz rozbili namioty. Na wałach rozstawiono część dział przeniesionych ze statku. W namiotach mieli mieszkać członkowie załogi, naukowcy i oficerowie. Miało się w nich także pomieścić obserwatorium, kuchnia i kuźnia — z „Endeavour” przeniesiono także na ląd sprzęt kowalski. Najbardziej chętnymi pracownikami przy budowie okazali się Tahitańczycy, którzy najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że fort ma chronić Anglików właśnie przed nimi.

Po zewnętrznej stronie fortyfikacji wytyczono okalającą obóz linię, a krajowcom powiedziano, że nie wolno im jej przekraczać. Niestety tubylcy nie byli zbyt skrupulatni w przestrzeganiu zakazów i właśnie to, wraz z wrodzonym upodobaniem do złodziejstwa, doprowadziło do śmierci jednego z nich. Pewnego dnia Banks i Cook wybrali się na kaczki. Nagle usłyszeli strzał z fortu. Rzucili się z powrotem i znaleźli na ziemi martwego Tahitańczyka; nie było nawet śladu po wielu innych krajowcach, którzy jeszcze kilka chwil wcześniej tłoczyli się wokół fortu. Jak to zwykle bywa przy tak gwałtownych, nagłych wypadkach, zeznania świadków co do jego przebiegu różniły się diametralnie. Było jednak oczywiste, co się stało: tubylec popchnął zaskoczonego wartownika, wyrwał mu muszkiet, zaczął z nim uciekać i został zastrzelony.

Zupełnie zrozumiałe, że musiało upłynąć trochę czasu, nim ludzie z „Endeavour” i Tahitańczycy znowu nawiązali stosunki. Cook wytłumaczył za pośrednictwem O’whaha, jak ciężkim występkiem była kradzież muszkietu. Krajowcy ze swojej strony zgodzili się, że człowiek, który uważa, że popełniono przeciwko niemu przestępstwo, jest w pełni uprawniony do poczynienia wszelkich kroków w celu wyrównania rachunków. Tak przecież sami postępowali. Cook wydawał się usatysfakcjonowany tym, że pojęli, o czym mówił, zrozumieli lekcję i będą już wiedzieli, jak złą rzeczą jest kradzież. Tymczasem najprawdopodobniej nie zrozumieli i być może w dalszym ciągu nie mieli pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło. Tahitańczycy nie byli oczywiście niemoralni; trwali po prostu w stanie szczęśliwej amoralności. Można być prawie pewnym, że nie rozumieli znaczenia słowa „kradzież”. Według nich, jeśli zobaczyłeś coś, co ci się spodobało, po prostu to zabierałeś. Było to naprawdę bardzo mało skomplikowane. Najprawdopodobniej z surowych nauk Cooka wypływała dla nich jedna prawda: musieli być bardziej ostrożni, kiedy następnym razem będą się dobierać do własności białego człowieka. Nie trzeba dodawać, że złodziejstwo kwitło w dalszym ciągu.

Lecz mimo to stosunki pomiędzy Anglikami a Tahitańczykami były znakomite. Nawet biorąc poprawkę na nutkę nostalgii, która musiała zabrzmieć w późniejszych opisach, z dzienników i listów osób podróżujących wraz z Cookiem można odczytać, że był to cudowny, prawie idylliczny okres. Żyli w atmosferze prawdziwej Arkadii; nigdy przedtem ani potem nie zetknęli się już z czymś takim. Nie jesteśmy dziś w stanie odtworzyć ducha tamtego czasu na wyspie. Wiedział o tym już Gauguin portretując smukłą tahitańską dziewczynę. Nadał temu obrazowi tytuł „Już nigdy” — obraz i tytuł są najlepszym symbolem czasu, który przeminął bezpowrotnie.

Ale Cook i jego ludzie mogli się jeszcze cieszyć atmosferą tamtego Tahiti. Zaprzyjaźnili się z mieszkańcami, dużo z nimi przebywali i nawiązywali bliskie kontakty. Cook i jego oficerowie zapewniali utrzymanie przyjaznych kontaktów, co wieczór jedząc kolacje z lokalnymi wodzami w ich domach bądź też na statku. Załoga natomiast zawierała bardzo bliską znajomość z zadowolonymi z takiego obrotu spraw Tahitankami. „Nawiązywali przyjaźnie — zauważył kwaśno jakiś obserwator — dość dalekie od platonicznych stosunków”. Ale taka uwaga była wtedy raczej wyjątkowa: królowała tolerancja, a nikt nie okazywał jej w większym stopniu niż Cook. Nie tylko wiedział, jak się rzeczy mają — musiałby być wyjątkowo tępy, żeby się nie zorientować, kiedy widział, jak dziewczęta wchodzą na pokład o zmroku — ale nawet nie udawał, że nie wie. Musimy pamiętać, że era represyjnej wiktoriańskiej moralności miała się rozpocząć dopiero za mniej więcej sto lat.

Miodowy miesiąc zakończył się gwałtownie 2 maja. Tego dnia instrumenty astronomiczne zostały przetransportowane do fortu, gdzie umieszczono je w namiocie–obserwatorium pod zbrojną strażą. Czołowe miejsce wśród instrumentów zajmował kwadrant\*, bez którego nie mogłaby się udać obserwacja przejścia. Był to bardzo ciężki aparat w drewnianej skrzyni.

Kiedy Cook jak zwykle obchodził tego dnia obóz, zastał wszystko na swoim miejscu: był namiot, strażnik i skrzynia — ale kwadrant zniknął. Nietrudno wyobrazić sobie konsternację i wściekłość Cooka i naukowców: bez tego instrumentu nie mogło być nawet mowy o obserwacji przejścia. Jeśli więc chodzi o ten cel wyprawy, „Endeavour” mógłby równie dobrze w ogóle nie opuszczać Anglii.

Cook natychmiast rozkazał zamknąć zatokę, żeby uniemożliwić złodziejowi ucieczkę morzem. Miał też właśnie zamiar wypytać dokładnie wodzów, kiedy jeden z nich, Tuborai, inteligentniejszy niż reszta, lub przynajmniej na tyle inteligentny, żeby wiedzieć, że będzie to mało pomyślny dzień dla Tahiti, poprosił Banksa na stronę. Zdawał sobie sprawę, że Cook musi natychmiast odzyskać kwadrant, powiedział więc Banksowi, że wie, kim jest złodziej, który niezwykle rozważnie poszukał schronienia w górach.

Banks w towarzystwie Greena — w końcu to ten ostatni był astronomem i był to jego kwadrant — oraz midszypmana ruszyli w pogoń. Tuborai poszedł z nimi jako przewodnik, pytając po domach, w którym kierunku udał się złodziej. Tahitańczycy udzielali mu tych informacji chętnie i pogodnie. Szli i biegli na przemian prawie siedem mil, głównie pod górę, jak powiedział potem gorzko Banks, w temperaturze trzydziestu dwu stopni Celsjusza w cieniu. W końcu spotkali grupę ludzi, oczywiście nie było wśród nich samego złodzieja, niosących trochę poturbowany kwadrant lub, bardziej dokładnie, jego część. Także i inne fragmenty pojawiły się wkrótce. Tahitańczycy trochę późno, ale na szczęście nie za późno, zdali sobie sprawę, że tym razem posunęli się za daleko. Okazało się, że uszkodzony kwadrant będzie można naprawić. Po tradycyjnym już dwudziestoczerogodzinnym okresie ochłodzenia stosunków, gniew jednej strony, a dąsy drugiej wyparowały. Podjęto wtedy, brutalnie przerwany, miesiąc miodowy.

Nadszedł 3 czerwca. Niebo było dalek czyste jak na zamówienie i obserwacja przejścia Wenus powiodła się w pełni. Dokonano jej z dwóch punktów na Tahiti i trzeciego na sąsiedniej wysepce Moorea. Cook i Green byli pewni, że osiągnęli doskonałe rezultaty. Tak jednak nie było. Oczywiście nie z ich winy — żadnym obserwatorom na kuli ziemskiej nie udawało się otrzymać wyników, na jakie mieli nadzieję. Instrumenty astronomiczne nie były w tych czasach wystarczająco precyzyjne.

Miało upłynąć jeszcze sześć tygodni, nim „Endeavour” podniósł kotwicę. To prawda, że Cook krążył wokół wyspy, badając prądy morskie i jak zwykle wyjątkowo dokładnie kreśląc mapy.

---

\* Kwadrant pozwalał na odczytywanie odległości zenitalnych ciał niebieskich. Służył także do pomiarów kątów.

Także kadłub statku trzeba było oczyścić, zreperować szalupę, zlikwidować fort. Ale to wszystko razem nie powinno im zabrać więcej niż tydzień. Załadowanie z powrotem na statek i uzupełnienie zapasów na czekającą ich długą podróż mogło zająć następny. I chociaż ze zrozumiałych względów nie ma żadnej wzmianki o powodach tego opóźnienia ani w dziennikach, ani notatkach służbowych, to jednak wydają się oczywiste: ludziom z „Endeavour”, od Cooka po marynarzy, było ogromnie ciężko porzucić ten złoty kraj lotosów. Szukali więc powodów, by odwlec dzień opuszczenia Tahiti.

Tuż przed wypłynięciem zdarzyło się coś na tyle ważnego, by to odnotować, głównie ze względu na konsekwencje w przyszłości. Dwóch marynarzy, Webb i Gibson, uciekło w góry ze swoimi dziewczynami. Pozostawili wiadomość dla dowódcy wyprawy, z której jasno wynikało, że nie mają najmniejszego zamiaru wracać. Cook potraktował to bardzo poważnie. Było to ciężkie wykroczenie dyscyplinarne i podważenie jego autorytetu. Potrzebował na pokładzie absolutnie wszystkich ludzi, każdej pary rąk. Co więcej, gdyby Webbowi i Gibsonowi ucieczka ta uszła płazem, spora liczba innych mogłaby chcieć pójść w ich ślady. Niewielu ludzi z „Endeavour” uznałoby osiedlenie się na stałe na Tahiti za ciężki los.

Cook zareagował typowo, szybko i energicznie. Schwycił sześciu wodzów i potraktował ich jak zakładników. Naturalnie wodzowie mieli mu to bardzo za złe. W żaden sposób nie byli przecież odpowiedzialni za ucieczkę dwóch marynarzy. Cook nie spierał się z nimi o słuszność swojego postępowania. Oświadczył jedynie, że uwolni ich, kiedy dezercerzy zostaną doprowadzeni na „Endeavour”. Ponieważ miał naprawdę ogromną umiejętność przekonywania ludzi, że wszystko, co mówi, mówi poważnie, natychmiast podjęto odpowiednie działania. Tahitańscy przewodnicy zaprowadzili Anglików w góry, a Webb i Gibson w krótkim czasie wrócili na statek.

Zdarzenie to jest ważne, bo stanowi doskonały przykład techniki, jaką Cook miał stosować jeszcze wiele razy na Pacyfiku. Kiedy tylko coś cennego zostało ukradzione czy popełniono jakiegokolwiek inne poważne wykroczenie, brał w niewolę lokalnych wodzów i trzymał ich jako zakładników, póki przedmiot kradzieży nie wrócił na swoje miejsce lub złoczyńca nie został przekazany w ręce Anglików. Była to szalenie efektywna i błyskotliwie prosta technika. Działała za każdym razem jak zaklęcie — aż do ostatniego razu. Wtedy nie zadziałała i to niepowodzenie przyniosło Cookowi śmierć.

Wszystkim pękały serca, kiedy „Endeavour” opuszczał wyspę Anglicy i Tahitańczycy naprawdę bardzo się zaprzyjaźnili i przy rozstaniu płakali, złamane serca były po obu stronach. Wielu członków załogi pozostawiało dziewczęta, z którymi, gdyby do nich należał wybór, osiedliliby się i żyli spokojnie. W sam dzień pożegnania wodzowie weszli na pokład i ze łzami płynącymi po policzkach prosili, by goście zostali z nimi. A kiedy statek podniósł już kotwicę i odpływał powoli, zatoka zarojła się setkami canoe pełnymi rozpaczających gorzko mężczyzn i kobiet. Ten widok poruszyłyby każdego bez wyjątku.

Cook odpływając zabrał ze sobą wodza, który nazywał się Tupia i jego służącego imieniem Tiata. Tupia ogromnie nalegał, żeby płynąć z Cookiem. Nie urodził się na Tahiti — pochodził z położonej bardziej na zachód wyspy Daiatea. W tamtej okolicy znajdowało się, jak mówił, jeszcze wiele innych wysp, a on znał je dobrze. Na niektórych miał krewnych, których czasem odwiedzał; na innych bywał także, ale już w zupełnie mało towarzyski sposób, jako członek wypraw wojennych. Cook zdawał sobie sprawę, że Tupia będzie bardzo przydatny jako przewodnik i tłumacz.

Popłynęli najpierw na wyspę Huahine, gdzie przyjęto ich bardzo dobrze, a potem na Raiatea. Miejscowa legenda mówi, że Nową Zelandię skolonizowano z tej właśnie wyspy. Cook zwiedził i nakreślił mapy także kilku innych wysp tej grupy. Nazwał je Society Islands (Wyspy

Towarzystwa) z powodu, jak napisał, „ich wzajemnej bliskości i łatwości komunikacji pomiędzy nimi”. Nie zapomniał naturalnie zaanektować ich w imieniu Korony Brytyjskiej.

Poufne polecenia, jakie otrzymał z Admiralicji, nakazywały penetrację wód w poszukiwaniu południowego kontynentu do czterdziestu stopni szerokości geograficznej Cook był dość otwarty na przypuszczenia i sugestie innych — uważał, że jego zadaniem nie jest wygłaszanie własnych opinii, lecz znajdowanie odpowiedzi na pytania — ale w tym wypadku chyba raczej od początku wątpił w istnienie tajemniczego kontynentu. Umocnił się w tych wątpliwościach, odkąd poznał Tupię, którego wiedza o środkowopołudniowej części Pacyfiku była wręcz fenomenalna. Wódz twierdził zresztą, że jego ojciec był jeszcze lepszym znawcą tego rejonu i bardziej wytrzymałym podróżnikiem. Mówił także, że ojciec wypuszczał się bardzo daleko na południe, ale nie napotkał tam żadnego kontynentu, tylko wyspy. Lecz dla Cooka rozkaz był rozkazem. Skierował więc „Endeavour” na południe.

Poprowadził statek prawie tysiąc pięćset mil na południe. Dotarli, jak polecili lordowie admirałowie, do czterdziestego stopnia szerokości geograficznej i nie natrafili na żaden siad lądu. Teoria Aleksandra Dalrymple’a była więc już mocno nadwerężona. Cook nie miał ochoty kręcić się w okolicy bez potrzeby. Pogoda była wstrętna, wichury nie dawały im chwili odpoczynku, stale musieli reperować żagle, maszty i takielunek, załoga znajdowała się w stanie wyczerpania. Krótko mówiąc, Ryczące Czterdziestki (czterdziesty stopień szerokości geograficznej) robiły, co mogły, by dowieść słuszności swojego przezwiska. W poszukiwaniu lepszych warunków Cook zwrócił się na północny zachód. Udało się, trafili na lepszą pogodę. Obrócili się na zachód, a następnie ustalili kurs na południowy zachód. Trzymali się tego kierunku przez mniej więcej trzy tygodnie. Ten okres upłynął dosyć spokojnie, jeśli nie liczyć śmierci bosmanmata, który popełnił błąd postanowiwszy samotnie uporać się z pełną butelką rumu. Z pierwotnego składu nie żyło sześciu ludzi. (Na początku pobytu na Tahiti zmarł w ataku epilepsji Aleksander Buchan, pejzażysta).

7 października młody chłopak, Nicholas Young, dostrzegł ziemię z głównego masztu. Chłopca nazywano Young Nick (Młody Nick), więc Cook natychmiast nazwał wysunięty w morze fragment lądu Young Nick’s Head (Głowa Młodego Nicka). Chłopak w pełni zasłużył sobie na ten zaszczyt, jako że był pierwszym Europejczykiem, który zobaczył na własne oczy wschodnie wybrzeże Nowej Zelandii.

Cook orientował się, że była to Nowa Zelandia. Posiadano informacje o jej istnieniu, nie wiadano jednak nic więcej. Sto dwadzieścia sześć lat wcześniej odwiedził zachodnie wybrzeże Nowej Zelandii Tasman, jedyny badacz Pacyfiku, którego można porównywać z Cookiem, jeśli chodzi o umiejętności nawigatorskie i żeglarskie. Stało się to w czasie podróży z Batawii w Holenderskich Indiach Wschodnich. Tasman odkrył wtedy Tasmanię. Przypuszczał, że jest ona połączona lądem z Australią (podobnie myślał Cook i nigdy nie sprawdził, czy nie była to wyspa; nie miał żadnego powodu, by to zrobić). Tasman odnalazł też w czasie tej samej podróży Nową Zelandię i opłynął Australię. Z jakiegoś powodu opłynął ją w bardzo dużej odległości i nigdy nie zbliżył się do jej wschodniego wybrzeża.

Nowa Zelandia została więc odkryta, ale to było wszystko. Nikt nie widział jej od czasów Tasmana, a Tasman pozostawił o niej niewiele informacji. Przepłynął wzdłuż zachodniego wybrzeża North Island (Wyspy Północnej) i wzdłuż części zachodniego wybrzeża South Island (Wyspy Południowej). Nigdy nie próbował znaleźć drogi do wschodniego wybrzeża. Nie pożeglował wystarczająco daleko na południe, żeby odkryć, czy Nowa Zelandia jest wyspą, czy też jest połączona z jakimś lądem stałym. Co dziwne, nie zbadał też przejścia pomiędzy North i South Island znanego obecnie jako Cook Strait (Cieśnina Cooka), choć z zapisków w jego dzienniku wynika, że podejrzewał istnienie takiej cieśniny. Może po prostu spieszyło mu się,

żeby dostać się na wyspy Fidżi, które miały zakończyć następny etap jego podróży. Tasman był wielkim żeglarzem, lecz brakowało mu żelaznej woli i determinacji Cooka, które skłaniały tego ostatniego do zbadania wszystkiego, aż do samego końca. Zwierzchnicy Tasmana w Batawii wiedzieli o tej jego słabości i zarzucali mu, że pozostawił wszystko „do zbadania bardziej przedsiębiorczym i wytrzymałym następcą”.

Tym wytrzymałym następcą okazał się właśnie Cook. Z częścią swoich ludzi, pierwszymi Europejczykami, którzy postawili stopę na ziemi Nowej Zelandii (w poprzednim wieku Maorysi byli tak wrogo nastawieni, że Tasman rozważnie nie podjął nawet próby zejścia na ląd), wylądował na wschodnim brzegu rzeki Waipoua (obecnie znajduje się tam miasto Gisborne), w połowie wschodniego wybrzeża North Island.

Rzadko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, towarzyszyły odkryciu nowego lądu tak niesprzyjające warunki. Na drugim brzegu rzeki mogli dostrzec wyraźnie wrogich Maorysów. (Trudno im się dziwić; ogromna arogancja narodów Europy Zachodniej, której przedstawiciele krążyli po całym globie, anektując wszystko, co popadło, i nie licząc się zupełnie z odczuciami i życzeniami prawowitych właścicieli nowo odkrytych terytoriów, jest doprawdy zdumiewająca). Cook i kilku innych przepłynęli rzekę małą dwumasztową łodzią, pozostawiając na brzegu pinasę\*, którą przybyli, żeby spróbować nawiązać jakiś kontakt z Maorysami. Wyszli na brzeg, zostawiając w łodzi załogę i znaleźli się w zadrzewionym terenie. Tubylcy natychmiast zbliżyli się do pinasy, próbując odciąć załogę od Cooka i jego ludzi na brzegu. Marynarze, których Cook zostawił na przeciwnym brzegu rzeki, strzelali ostrzegawczo nad głowami Maorysów, ci jednak nieustępliwie zbliżali się do łodzi. Następny strzał nie był już tylko ostrzeżeniem: jeden z Maorysów został zabity. Cook i jego ludzie wrócili na „Endeavour” — tak skończyła się pierwsza runda tego spotkania.

Następnego ranka znowu zeszli na brzeg i zbliżyli się do grupy uzbrojonych po zęby i wyraźnie agresywnych tubylców. Ofiarowali im dary, ale Maorysów nie interesowały podarunki, lecz biała broń Anglików. Jeden z tubylców próbował wyrwać Greenowi jego szpadę, wywiązała się szarpanina i zdarzyło się to, co się zdarzyć musiało. Wynik był gorszy niż poprzedniego dnia: jeden Maorys zginął, trzech zostało rannych. Cook i jego ludzie powrócili na „Endeavour”. Skończyła się druga runda.

Cook nie poddawał się łatwo. Po południu opłynął w łodzi zatokę szukając miejsca, gdzie mógłby zejść na ląd bez perturbacji z krajowcami. Wszędzie jednak wysokie fale przybrzeżne broniły dostępu. Musiał wracać na statek. W drodze powrotnej napotkał kilka canoe z tubylcami. Towarzyszący Cookowi Tupia zwrócił się do nich, mówiąc, że biali ludzie są przyjaciółmi i chcą rozmawiać. Maorysi jednak odpłynęli, starając się wiosłować jak najszybciej. Dowódca kazał oddać salwę z muszkietów nad ich głowami, w nadziei, że może się zatrzymają. Oczywiście tak się stało. Dalszy ciąg wydarzeń był jednak niespodziewany: zawrócili i z pełną prędkością ruszyli na łódź Cooka. Wiedzieli już wystarczająco dużo o broni palnej, żeby skojarzyć odgłosy wystrzałów ze śmiercią. Widocznie myśleli, że biali mają zamiar ich zabić i postanowili umrzeć w walce. Tym razem potyczka zakończyła się jeszcze gorzej — zginęło czterech Maorysów.

Taki był finał tego konfliktu, w którym jedna ze stron nie miała żadnych szans. Cook, tak samo jak wszyscy na pokładzie „Endeavour”, był przerażony wydarzeniami ostatnich dwudziestu czterech godzin i zdawał sobie sprawę, że następne próby lądowania na tym terenie zakończyłyby się bezsensowną rzezią. „Endeavour” odpłynął. Ze smutkiem i goryczą Cook nazwał to miejsce Poverty Bay (Zatoka Nędzy), bo jak pisał „nic nie udało nam się tam osiągnąć;

---

\* W oryginale — pinnace. Mały statek lub większa łódź żaglowa, która najlepiej nadawała się do penetracji nieznanymi płytkimi brzegami, wpływania w głąb zatok i w ujścia rzek.

nie dostaliśmy nic, co chcielibyśmy dostać”. Zatoka nazywa się tak do dziś.

„Endeavour” wziął kurs na południe. Opłynęli Mahia Peninsula (półwysep Mahia) i wpłynęli do Zatoki Hawke’a — Cook ochrzcił ją nazwiskiem Pierwszego Lorda Admiralicji. Była to rozległa i płytka zatoka o szerokości około sześćdziesięciu mil. Na jej północnym krańcu napotkali raczej przyjaźnie nastawionych Maorysów, lecz na południowym czekało ich podobne przyjęcie jak u brzegów rzeki Waipoua. Tubylcy podpłynęli do Anglików łodzią, udając, że chcą wymienić towary. Kiedy byli już wystarczająco blisko, próbowali porwać młodego Tiatę, służącego Tupii. Podobnie jak wszyscy do tej pory napotkani Maorysi, nie znali potęgi broni palnej: trzech z nich musiało zginąć, nim załozde udało się uratować Tiatę. Cook nazwał więc to miejsce Cape Kidnappers (Przylądek Porywaczy) i popłynął dalej.

Im dalej na południe się posuwali, tym mniej wydawało się prawdopodobne, że znajdą jakiś port. Cook doszedł do wniosku, że takie będzie całe wybrzeże (miał zupełną rację) i zdecydował zawrócić na północ. Miejsce, w którym zawrócili, celnie nazwał Cape Turnagain (Przylądek Drogi Powrotnej).

Trzeba tu zauważyć, że wszystkie takie decyzje należały tylko i wyłącznie do Cooka. Dźwigał ciężar całkowitej odpowiedzialności i choć jego oficerów irytowała czasem jego skrytość, ufali mu bez zastrzeżeń. Prawdą jest, że kapitan zwoływał czasem odprawy, w czasie których konsultował się demokratycznie ze swoimi ludźmi. Robił to jednak głównie po to, żeby poinformować ich o podjętych już decyzjach. Zdarzyło się jednak raz — było to na następnym statku Cooka „Resolution” — że poprosił ich o zgodę na swoją propozycję. Okoliczności były następujące: zbliżał się właśnie wyznaczony wcześniej czas powrotu do Anglii; Cook zaproponował, żeby zostali przez jeszcze jeden rok na Pacyfiku i w Antarktyce! Załoga zgodziła się.

Minęli powtórnie Zatokę Hawke’a i Zatokę Nędzy. Udało im się w końcu wpłynąć do zatoczki, gdzie zaopatrzyli się w świeżą wodę. Krajowcy byli tu przyjacielscy i chętnie wymieniali się towarami. Poprzez Tupię, który z łatwością porozumiewał się językiem Maorysów, dowiedzieli się, że tubylcy nazywali to miejsce Tolaga Bay (zatoka Tolaga). Cook pozostał przy tej nazwie. Banks i jego koledzy byli zachwyceni, bo znaleźli tu w ogromnej obfitości zupełnie jeszcze nieznanne drzewa, rośliny, kwiaty, ptaki, zwierzęta i insekty.

Płynęli dalej na północ, potem zmienili kurs na zachód, posuwając się wzdłuż linii wybrzeża. Kiedy okrążali wysunięty fragment lądu, zaskoczyli ich wojownicy Maorysów w ogromnych canoe wojennych. Cook rozkazał oddać ostrzegawczą salwę i tubylcy błyskawicznie zawrócili na brzeg. Kapitan nazwał więc to miejsce Cape Runaway (Przylądek Ucieczki).

Poruszali się teraz wzdłuż brzegów, gdzie ziemia była urodzajna i, o dziwo, dobrze uprawiana. Na Cooku wywarło to takie wrażenie, że nazwał te wody Bay of Plenty (Zatoka Obfitości). U samego końca zatoki wpłynęli do bezimiennego przesmyku. Tu Cook i Green przenieśli na ląd swoje instrumenty astronomiczne. Dokonali obserwacji przejścia Merkurego, a przesmyk został naturalnie nazwany Mercury Bay (Zatoka Merkurego).

I tak sunęli ku najbardziej na północ wysuniętemu punktowi Nowej Zelandii. Po drodze Cook nazywał wszystko, co się dało. Wystarczy spojrzeć na mapę w dużej skali, żeby zauważyć, że musiał być tym bardzo zajęty. Najwyraźniej zresztą nadawanie nazw sprawiało mu ogromną przyjemność i pozostawiało niewiele czasu na kreślenie map i nawigację.

Cook pozwolił swojej załodze wypocząć chwilę w Bay of Islands (Zatoka Wysp), najpiękniejszej, zdaniem wielu, zatoce Nowej Zelandii. Potem znów wyruszyli na północ. Kapitan chciał opłynąć północny cypel Nowej Zelandii. Cook wiedział, z dzienników i zapisków pokładowych Tasmana, że cypel ten nie powinien znajdować się zbyt daleko. I nie był, dzieliło ich od niego zaledwie jakieś sto mil. Napotkali jednak tak straszną pogodę i przeciwne wiatry



wiejące z północnego zachodu, a więc dokładnie z kierunku, w którym płynęli, że niezgrabny węglowiec, marny żeglarz nawet przy dobrej pogodzie, prawie nie posuwał się naprzód. Załoga była potwornie umęczona, kapitan mógł więc spokojnie poszukać schronienia w jakimś wygodnym przesmyku i poczekać na lepszy moment. Ale Cook posiadał przecież tę wyjątkową cechę, która uczyniła go największym odkrywcą naszej historii; była nią twarda jak diament determinacja. Kazała mu ona osiągać raz wytknięty cel i nigdy nie rezygnować z rozpoczętego już zadania.

25 grudnia 1768 roku („wszyscy marynarze pijani” — napisał Banks), po dwóch tygodniach walki z szalejącym wiatrem i morzem Cook osiągnął swój cel. Dostrzegł i zidentyfikował grupę wysp znanych pod nazwą Three Kings (Trzej Królowie). Przed Cookiem widział je sto dwadzieścia pięć lat wcześniej Tasman. Cook wiedział, że pozostawił już za sobą północną część Nowej Zelandii i znajdował się teraz na zachód od, nazwanego tak przez Tasmana, Cape Maria Van Diemen (Przylądek Marii Van Diemen), najbardziej wysuniętego na północny zachód punktu Nowej Zelandii. Zawrócił więc „Endeavour” na południe.

Wykonane przez Cooka mapy North Island są gorsze niż mapy reszty kraju. Złożyły się na to dwa ważne powody. Po pierwsze pośpiech: „Endeavour” zaczynał paskudnie przeciekać, uszczelnienie kadłuba puszczało, a sam kadłub był już tak obrośnięty wodorostami i inną morską roślinnością, że wymagał natychmiastowego oczyszczenia. Żeby móc dokonać tych wszystkich napraw, statek trzeba było wyciągnąć na płyciznę przy jakiejś piaszczystej plaży i poddać naprawom. Cook był całkiem pewien, że nie ma takich plaż na tym niegościnnym wybrzeżu. Po drugie wiatr spychał ich na ląd, „bardzo niebezpieczne wybrzeże”, jak zauważył lakonicznie Cook. Musieli więc płynąć w odpowiedniej odległości od brzegu i minęli kilka tak wspaniałych miejsc na port jak Hokianga, Kaipara, Manukau (znajduje się tam teraz miasto Auckland) i Kawhia. (W ciągu następnych lat uwadze Cooka umknęło kilka ważnych zatok portowych, włącznie z Sydney i Vancouver. Działo się tak — z wyjątkiem Sydney — dlatego, że albo musiał trzymać się w bezpiecznej odległości od brzegu, albo mijał te miejsca nocą).

11 stycznia minęli pokrytą śniegiem górę o wysokości ośmiu tysięcy stóp — Cook nazwał ją Mount Egmont. W tym punkcie linia brzegu skręcała na południowy wschód. Lecz zamiast posuwać się wzdłuż niej, przepłynęli przez zakole lądu i dotarli do północnego wybrzeża South Island. Tam zawrócili na wschód i minęli Murderers' Bay (Zatoka Morderców), znaną obecnie jako Golden Bay (Złota Zatoka). Pierwsza nazwa została nadana dla upamiętnienia śmierci członków załogi Tasmana, zamordowanych w tym miejscu przez Maorysów. Minął też Tasman Bay (Zatoka Tasmana) i dopiero wtedy znalazł idealne miejsce na rzucenie kotwicy. Była to otoczona wzgórzami mała zatoka, ze wspaniałymi plażami, idealnymi do dokonania napraw „Endeavour”. Był to najlepszy port, jaki Cook znalazł na morzach południowych; w następnych latach wracał tu jeszcze kilkakrotnie. Nazwał go Queen Charlotte Sound.

Podczas gdy jego ludzie zajęli się naprawami, Cook wyruszył w góry. Miał niezwykłą, zakrawającą na jasnowidzenie, zdolność odgadywania, co znajduje się po drugiej stronie wzgórza. Było tam zawsze to, co przewidywał. Często spierał się ze swoimi oficerami na temat tego, co zastaną za wzgórzem — wyspę, płaski teren, następne wzgórze — lub jak będzie wyglądała rzeźba terenu. Nigdy się nie pomylił, jego oficerów musiało to doprowadzać do białej gorączki.

Poszedł więc w góry, bo był przekonany, że za nimi musi być cieśnina łącząca wody na wschodzie. Nie musiał się zbyt wysoko wspinać, żeby dostrzec, że jego przypuszczenia i tym razem okazały się słuszne. 7 lutego poprowadził, gotowy już do dalszej podróży, statek przez tę właśnie cieśninę na wschód. Tym razem Banks uparł się przy nadaniu jej nazwy. Ochrzcił ją nazwiskiem człowieka, który podejrzewał jej istnienie, odkrył ją i pierwszy ją przepłynął. Cook Strait (Cieśnina Cooka), była dla niej z pewnością najwłaściwszą nazwą.

Niektórzy oficerowie nadal twierdzili, że to, co uważali za North Island, może być jedynie półwyspem scalonym ze znacznie większym lądem stałym rozciągającym się na południowy wschód. Cook uważał, że nie było to możliwe. Ponieważ jednak nie ma nic bardziej denerwującego niż przebywanie w towarzystwie osoby, która zawsze ma rację, oficerowie uparcie obstawali przy swoim. Zamiast więc, tak jak zamierzał, skierować się na południe, Cook cierpliwie zawrócił „Endeavour” na północny wschód. Dwa dni później dostrzegli Cape Turnagam (Przylądek Drogi Powrotnej), z którego wyruszyli, żeby opłynąć wyspę. To zakończyło dyskusje — Cook miał oczywiście rację.

Popłynęli teraz na południe. Przepłynęli obok Cieśniny Cooka (dziwne, ale Cook przegapił port znany teraz jako Wellington) i ruszyli w dół wschodniego wybrzeża South Island. Cook nie wiedział jednak, czy jest to wyspa, czy też część ogromnego lądu stałego, może kontynentu. Bardzo ostrożnie więc poruszał się wzdłuż wybrzeża żeglując nocą wodami, które wcześniej uznali za bezpieczne.

Po dwudniowej podróży, 17 lutego, równoległe do łańcucha pokrytych śniegiem gór, przepłynęli obok dużej wyspy. Cook, oddając komplement za komplement, nazwał ją Wyspą Banksa. Był to jeden z dwóch tylko błędów, jakie Cook popełnił w czasie podróży dookoła Nowej Zelandii. Wyspa Banksa była tak naprawdę częścią lądu, ale pas ziemi, który łączył ją z Nową Zelandią, był położony tak nisko (znajduje się tam teraz Christchurch), że patrząc z morza łatwo można było popełnić pomyłkę.

Następnych parę dni zajęła im dalsza podróż na południowy zachód. Płynęli wzdłuż nieurodzajnego i niegościnnego wybrzeża. Kiedy zbliżali się do południowego krańca wyspy, zerwał się wschodni wiatr, który spychał ich daleko na Pacyfik. W tym czasie, zanim mogli zawrócić z powrotem na zachód, posunęli się sporo na południe i znaleźli się niedaleko nie South Island, ale Stewart Island. Stewart Island oddziela od najdalej wysuniętego na południe skrawka South Island Foveaux Strait (Cieśnina Foveaux). Okrążyli wtedy Southwest Cape (Przylądek Południowo–Zachodni); Cook nie miał już wątpliwości, że dotarli do południowych krańców wyspy, bo rozciągające się przed nimi bezbrzeżne połacie wód mogły być jedynie otwartym oceanem. Skierował więc „Endeavour” na północ, mijając wspaniałe fiordy, które wcinają się głęboko w południowo–zachodni kraniec South Island.

Banks i inni naukowcy myśleli, że fiordy okażą się cudownym źródłem okazów botanicznych i geologicznych. Naciskali więc, żeby Cook zbliżył się do jednego z nich i zarzucił kotwicę. Spotkali się ze zdecydowaną odmową; były po temu ważne powody. W tych fiordach wiatr mógł wiać tylko z dwóch kierunków — z zachodu, w górę fiordu, lub ze wschodu, w dół. Ponieważ przeważnie wiatry wiały z zachodu, oznaczało to, że kiedy statek tam wpłynie, nie będzie mógł zawrócić, żeby wydostać się tą samą drogą.

Człowiek o inteligencji Banksa z pewnością musiał zgodzić się z logiką rozumowania Cooka. Tym niemniej ze złością odnotował swoje rozczarowanie. Jego gniew podsycił też zupełnie inny powód. Banks był przychylnie nastawiony do teorii Aleksandra Dalrymple’a o istnieniu południowego kontynentu i wierzył, że południowa część South Island jest z nim połączona. Lecz Cook dowiódł właśnie, że idea Dalrymple’a, a więc i Banksa także, była tylko iluzją i doszczętnie ją obalił. Musiało to być bardzo deprymujące.

Przez następne dwa tygodnie „Endeavour” płynął na północny zachód w górę wybrzeża. Było ono ponure, niegościnnie i odstrasające. Z jednej strony wyrastał na nim łańcuch pokrytych śniegiem zlodowaciałych gór, które teraz znamy pod nazwą Southern Alps (Południowych Alp). Do Queen Charlotte Sound powrócili 26 marca. Zakończyli rejs wokół South Island, obalając tym samym wiele mitów i błędnych koncepcji co do nowego lądu. Najbardziej znaną i rozpowszechnioną była teoria, w myśl której ląd odkryty przez Tasmana miał być tylko daleko

wysuniętym półwyspem Wielkiego Południowego Kontynentu. Cook dowiódł teraz, że ląd ten składał się z dwóch osobnych wysp i że w pobliżu nie było żadnej kontynentalnej masy lądowej. Wiele twarzy w Królewskim Towarzystwie miało oblać się rumieńcem po powrocie Cooka. Dla tych ludzi był zwiastunem złych wiadomości.

Poza błędnym założeniem, że Banks Peninsula (Półwysep Banksa) mógł być wyspą, jedynym błędem Cooka było przyjęcie, że Stewart Island mogła być półwyspem.

Był to dość zrozumiały błąd, bo „Endeavour” wywiało wtedy tak daleko na wschód i południe, że kiedy już Cook odzyskał kontakt z ziemią, nie mógł wiedzieć, iż w tym czasie minęli też Cieśninę Foveaux. Z wyjątkiem tych dwóch błędów, wykonana przez Cooka mapa Nowej Zelandii jest zdumiewająco dokładna.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### AUSTRALIA I WIELKA RAFA KORALOWA

„Endeavour” nie pozostał długo w okolicy Queen Charlotte Sound. Zarówno statek, jak i załoga znajdowali się w świetnej kondycji, Cook nie miał więc zamiaru niepotrzebnie zwlekać. Zrobili już wszystko, co im zlecono, i mogli spokojnie wracać do domu. Mieli do wyboru jedną z trzech tras, Cook demokratycznie zwołał więc radę oficerów i jak zwykle sam podjął decyzję.

Mogli płynąć przez przylądek Horn, ale była to długa i niebezpieczna droga. Cook wątpił czy takielunek, który był już i tak w nie najlepszym stanie, wytrzyma sztormy, jakich mogli się spodziewać w okolicach przylądka. Nie był też pewien, czy wystarczy im zapasów. Co więcej, nadchodziła południowa zima.

Mogli też wracać przez Przylądek Dobrej Nadziei, ale byłaby to ciężka próba dla „Endeavour”, który nawet przy świetnych warunkach meteorologicznych z ogromnym trudem posuwał się pod wiatr. Szarpałby się więc z przeważającym wiatrem zachodnim przez całe tygodnie; na pierwszy plan znowu wysuwała się kwestia zapasów. Poza tym Tasman przebył już tę drogę, a Cook nie lubił chodzić śladami innych. Byli więc skazani na trzecią możliwość; o czym zresztą już zdecydował kapitan. Musiała go bardzo pociągać, bo łączyła się przecież z możliwością nowych odkryć, a przede wszystkim zbadaniem jedyne go ogromnego lądu, którego jeszcze nie zbadał — wschodniego wybrzeża Australii. Sądził, że żaden Europejczyk, z wyjątkiem Tasmana, nie postawił stopy po wschodniej stronie kontynentu. Podobało mu się takie wyzwanie. W rzeczywistości Cook nie wiedział, i umarł nie wiedząc, że to on był odkrywcą Australii. Ani Tasman, ani Cook nie wiedzieli bowiem, że Van Diemen’s Land, który odwiedził Tasman, był wyspą — znaną teraz pod nazwą Tasmania. Wyspa ta była oderwana od samej Australii. Poza tym, po dotarciu na północ Australii, mogli wziąć kurs na Holenderskie Indie Wschodnie, gdzie z łatwością uzupełniliby zapasy.

1 kwietnia „Endeavour” zostawił za sobą Nową Zelandię. Cook chciał płynąć od razu ku Van Diemen’s Land — Tasman pozostawił dość dokładne wskazówki — ale trafili na przeciwne wiatry. Wywiało ich daleko na północ z pierwotnie obranego kursu; kiedy więc zobaczyli ląd, była to Australia, nie Tasmania. Wichury spowodowały, że Cook, podobnie jak nie dostrzegł Cieśniny Foveaux pomiędzy South Island i Stewart Island, tak teraz nie zobaczył Bass Strait (cieśniny Bass) dzielącej Australię od Tasmanii. Myślał jednak, że ma przed sobą dalszą część wybrzeża odkrytego przez Tasmana.

Warto zauważyć, że jakimś przedziwnym zbiegiem okoliczności Cook tak samo podejrzewał istnienie cieśniny Bass, jak Tasman istnienie Cieśniny Cooka. W swoich mapach Tasman narysował North i South Island jako połączoną całość; był jednak przekonany i zapisał to w dzienniku, że obie wyspy musi dzielić cieśnina. Na mapie połączył Tasmanię z Australią, ale w swoim dzienniku dał wyraz odczuciu, że prawdopodobnie dzieli je cieśnina.

Możemy być prawie pewni, że „Endeavour” był już w Bass Strait, kiedy porucznik Hicks jako pierwszy zobaczył Australię. Było to 21 kwietnia. Nie wiadomo dziś dokładnie, który to był fragment lądu. Cook nazwał go Point Hicks Hill (Wzgórze Hicksa) i uważa się, że musiało być to wzgórze znajdujące się za przylądkiem znanym jako Cape Everard.

Szukając odpowiedniego miejsca do zarzucenia kotwicy, Cook posuwał się najpierw na wschód, potem na północ. Co pewien czas widzieli dym, wiedzieli więc, że tereny te są zamieszkane. Nie dostrzegli jednak żadnych ludzi. Po tygodniu żeglugi na północ odkryli doskonałe miejsce na port i zatrzymali się tam.

Tutaj napotkali pierwszych aborygenów, ludzi o prawie czarnym kolorze skóry, zupełnie innych niż Polinezyjczycy i Maorysi. Niektórzy byli wyraźnie wojowniczy, jednak znacznie mniej niż Maorysi. Inni odnosili się do białych obojętnie. Cook odnotował ze zdumieniem, że dwie łodzie pełne krajowców, zajętych łowieniem ryb, przepłynęły obok „Endeavour”. Nie zwrócili na statek najmniejszej uwagi, zachowując całkowitą obojętność. Jest to naprawdę zdumiewające, bo nigdy wcześniej nie mogli przecież widzieć takiego statku. Żaden z aborygenów ich nie powitał. Zauważono, że wszyscy byli uzbrojeni w „krótkie, zakrzywione szable” — słynne bumerangi.

Znaleźli słodką wodę, a zatoka roiła się od ryb. Cook nazwał ją Portem Stingray. Nie mogli jednak zaopatrzyć się w mięso, nie było też owoców ani warzyw. Aborygeni nie znali uprawy ziemi i byli bardziej zacofani niż Maorysi z Bay of Plenty (Zatoki Obfitości), którzy osiągnęli już zaawansowany stopień rozwoju rolnictwa. Roślin jednak było pod dostatkiem, co ogromnie cieszyło Banksa, Solandera i innych naukowców. Znaleźli setki gatunków nieznanych w Europie. Było ich tu tak wiele, że Cook przemyślał sprawę nazwy portu i zmienił ją na Botany Bay (Zatoka Botaniki). I pod tą nazwą zasłynęło to miejsce we wczesnej historii Australii, kiedy zaczęto tu osiedlać kryminalnych zesłańców.

Wyłynęli z Botany Bay 6 maja. Mniej więcej osiem mil na północ minęli wejście do innej zatoki portowej, którą Cook nazwał Port Jackson. Był zdania, że powinno to być bezpieczne miejsce na zarzucenie kotwicy. Dobrze się może złożyło, że umarł nie wiedząc, że minął wtedy najwspanialszy port świata — Sydney.

Przez następne pięć tygodni „Endeavour” płynął w górę wybrzeża. Towarzyszyła im wyjątkowo piękna pogoda. Cook czuł się jak ryba w wodzie. Miał oczywiście problemy, którym musiał stawić czoło. Któregoś dnia ktoś na przykład uciął po kawałku uszu urzędnikowi okrętowemu Ortonowi, korzystając z tego, że Orton był pijany jak bela. Nigdy nie wykryto winowajcy. Później, kiedy zbliżyli się do Wielkiej Rafy Koralowej, miał pod dostatkiem innego typu problemów. Musieli wtedy kluczyć w skomplikowanym labiryncie skał, płyczn i pomniejszych raf. Ale generalnie zajmował się wtedy przede wszystkim tym, co naprawdę uwielbiał: kreślił mapy i nadawał nazwy wszystkiemu, co znalazło się w zasięgu jego wzroku. Aż trudno uwierzyć, że Cook nazwał tak ogromną liczbę wysp, zatok, przylądków i cieśnin. Musiał się cieszyć wielką inwencją — nigdy nie brakowało mu pomysłu na nową nazwę.

O jedenastej w nocy 11 czerwca „Endeavour” wpadł na podwodną rafę koralową. Uderzył w nią tak silnie, że zatrzęsała się każda, najdrobniejsza nawet część statku. Potem znieruchomiał nabity na rafę. Od początku było oczywiste, że uszkodzenie jest bardzo poważne; woda wlewała się do środka poprzez rozdarcie w kadłubie. Stało się to w porze najwyższego przypływu. Nie dość na tym, fale przypływu rozbiły się o unieruchomiony statek, niezbyt potężnie, ale na tyle mocno, że mogły powiększyć dziurę.

Załoga rzuciła się do pomp, lecz nie mogli sobie poradzić z wdierającą się do środka wodą. Zaczął się odpływ, ale wtedy okazało się, że „Endeavour” niebezpiecznie przechyliła się na jedną stronę. Sfatygowany kadłub mógł tego nie wytrzymać. Od lądu dzieliło ich jakieś dwadzieścia mil. Gdyby rozpoczął się sztorm, statek mógłby ulec jeszcze poważniejszemu rozdarciu, napełnić się wodą i zatonać. Nie mieli nawet wystarczającej liczby łodzi, żeby przewieźć wszystkich na brzeg.

Sytuacja była dramatyczna, ale w końcu ludzie typu Cooka rodzą się właśnie po to, żeby radzić sobie z takimi niebezpieczeństwami. Kazał więc maksymalnie odciążyć statek. Za burtą znalazły się warsztaty stolarza i bosmana, kamienny i metalowy balast spod pokładu, drzewo na opał, nawet działa, i tylko dokładnie oznaczono miejsce, w którym je zrzucano, żeby móc je potem odzyskać. Kotwice przewieziono łodzią na pewną odległość od „Endeavour” i tam je

rzucono. W ten sposób z pomocą kabestanu i wyciągów linowych mogli ściągnąć statek na głęboką wodę. Możemy sobie tylko próbować wyobrazić tę morderczą pracę — pompy, transport ciężkich kotwic i przede wszystkim usunięcie pięćdziesięciu ton balastu spod pokładu. Następnego dnia o jedenastej rano, gdy znów zaczął się przypływ, cała załoga była w stanie śmiertelnego wyczerpania.

Przypływ minął, a statek wciąż tkwił na rafie. Cook zachowywał absolutny spokój. Wiedział, że przy brzegach nocne przypływy są o wiele wyższe niż dzienne. Jednocześnie nie był pewien, czy dobrze robi próbując ściągnąć „Endeavour” z rafy; równie dobrze tylko osadzenie na rafie mogło chronić statek przed pójściem na dno jak kamień. Podjął to ryzyko. Gdyby statek zaczął natychmiast tonąć, starałby się wciągnąć go z powrotem na rafę. Gdyby powoli nabierał wody, spróbowałby mimo wszystko dotrzeć nim do brzegu, wyciągnąć na plażę, porąbać, z desek zbudować dużą łódź i dopłynąć nią do Indii Wschodnich. Cook był nie do pokonania — a nawet i te słowa nie do końca oddają siłę jego charakteru.

Na szczęście nie musiał się uciekać do aż takich rozwiązań. Przy wysokim przypływie tej nocy, wyteżonej pracy przy pompach i wyciągach lin umieszczonych na końcach kotwic, udało się ściągnąć „Endeavour” z rafy. Ku ich zdumieniu i ogromnej uldze statek nie tylko nie tonął, ale nabierał mniej wody niż na rafie. (Okazało się później, że w trakcie uwalniania „Endeavour” odłamał się od rafy wielki kawał koralu, który utkwiał w dziurze w kadłubie, częściowo ją zatykając).

Cook zdecydował jeszcze szczelniej zatkać otwór. Pod dnem statku przeciągnięto linę, do której przymocowano żagiel pokryty wełną i konopiami. Kiedy tak umocniony kawał płótna żaglowego trafił na wyrwę w kadłubie, ciśnienie wody zatrzymało go w tym miejscu, zmniejszając przedostawanie się wody do wewnątrz kadłuba.

Następnie wysłał ludzi na rekonesans. Szczęście tym razem im sprzyjało, bo załoga jednej z szalup wróciła z wiadomością, że udało się znaleźć plażę, na której można było odwrócić „Endeavour” na bok i dokonać napraw. Znajdowała się przy ujściu rzeki, niedaleko na północ od miejsca, gdzie się znajdowali. Cook poprowadził tam „Endeavour”. Mimo że musieli odczekać trzy dni aż ustaną przeciwne wiatry, które nie pozwalały na wejście w ujście rzeki (nawet gdy to się udało, dwa razy osiedli na mieliźnie), w końcu znaleźli doskonale miejsce na rzucenie kotwicy nie dalej niż dwadzieścia stóp od brzegu rzeki.

Zdjęto teraz ze statku cały pozostały jeszcze balast i wszystko, co się na nim znajdowało. Uszkodzenie było bardzo poważne: rafy i woda wyrwały cztery deski i zabezpieczenie kadłuba. Na szczęście nie były to szkody, których nie mogliby naprawić przedsiębiorczy stolarze i kowale. Pracę utrudniał tylko ograniczony czas pracy: mogli dokonywać napraw tylko w czasie odpływu, kiedy prawie cały kadłub był odsłonięty.

Tutaj, w miejscu przymusowego postoju, po raz pierwszy doszli do pewnego porozumienia z aborygenami. W przeciwieństwie do Polinezyjczyków byli oni nieśmiałą, skrytą, prawie bojaźliwą rasą. Byli jednak pod pewnym względem podobni do Tahitańczyków — mieli tę samą skłonność do podkradania cudzych rzeczy. Materialnie, jak uważał Cook, byli najuboższymi ludźmi na całym globie — nie mieli dosłownie nic. Jednocześnie zanotował, że wiedli prawdopodobnie szczęśliwsze i bardziej beztrudne życie niż Europejczycy.

Ten półtropikalny region — od równika dzieliło ich tylko piętnaście stopni — był prawdziwym rajem dla przyrodników. Widywali masę zwierząt, ryb, żółwi, małży i ptaków. Tu zobaczyli pierwsze krokodyle, nietoperze, psy dingo, kangury i mniejsze torbacze.

Naukowcy z pewnością bardzo chcieli pozostać znacznie dłużej, lecz Cook nie mógł się na to zgodzić. Chociaż „Endeavour” został umiejętnie połatany, w dalszym ciągu był w nie najlepszym stanie. Najbliższe stocznie, w których trzeba było dokonać pełnych napraw, znajdowały się w

Batawii, na Jawie, w Holenderskich Indiach Wschodnich. Cook nie wiedział, jak się tam dostać, ponieważ nie było jak na razie żadnego dowodu, że pomiędzy Północną Australią a Nową Gwineą istnieje droga morska. Poza tym zapasów mogło im wystarczyć jedynie na trzy miesiące. Co gorsza, gdyby zwlekał zbyt długo, południowo-wschodnie prądy powietrzne zmieniłyby się na północno-zachodnie, a wtedy „Endeavour” płynąłby ku Batawii pod wiatr. Zajęłoby to zdecydowanie zbyt dużo czasu. Tak więc wypłynęli 6 sierpnia. Przedtem Cook nazwał port, w którym znaleźli schronienie, Endeavour River (Rzeką Endeavour). (Miasto, które tam się teraz znajduje, nazywa się Cookstown).

Popłynęli na północ, przedzierając się przez płataninę płycizn, raf, skał i maleńkich wysepek. Najgorszy fragment tej podróży, który zajął im cały tydzień, Cook nazwał Labiryntem. Było tam tak niebezpiecznie, że w nocy zwijali żagle i starali się nie poruszać. W dzień przed „Endeavour” płynęła szalupa, której załoga badała głębokość i ostrzegała przed ewentualnymi niebezpieczeństwami. Na pokładzie Cook całymi dniami czuwał nad kursem i wydawał instrukcje.

Nawet gdy przedostali się już przez Labirynt, w dalszym ciągu mieli ogromne problemy z nawigacją w obszarze Wielkiej Rafy. W pewnym momencie Cook zrozpaczony żółwim tempem „Endeavour” — jeden fragment trasy, który nowoczesny statek przebyłby w jeden dzień, zajął im szesnaście dni; trzeba jednak pamiętać, że Cook był pierwszym żeglarzem pokonującym te zdradliwe wody — wykorzystał szczelinę w Rafie i przedarł się przez nią na otwarty ocean.

Lecz odległość pomiędzy łądem a Wielką Rafą stale rosła — Rafa ciągnęła się na północ, a linia brzegowa na północny zachód. Cook był głęboko nieszczęśliwy. Nie dość, że nie mógł teraz kreślić mapy podróży, ale co było znacznie poważniejsze, gdyby wypłynął zbyt daleko w morze, mógłby nie zauważyć cieśniny pomiędzy Australią i Nową Gwineą i znaleźć się gdzieś w okolicy wybrzeża Nowej Gwinei. A przecież przypuszczał, że ona naprawdę istniała. Nie miał więc wyboru. Zawrócił poprzez Wielką Rafę Koralową i w tym skomplikowanym manewrze prawie stracił „Endeavour” na rafach koralowych.

Jednak, po mimo wszystko szczęśliwym zakończeniem manewru, jego kłopoty na tych najbardziej niebezpiecznych wodach, jakie kiedykolwiek napotkał, dobiegły końca. Zbliżył się do łądu; po pewnym czasie zauważono z mostku, że pas ziemi znacznie się teraz przewęża, a po drugiej stronie widać morze. Trochę dalej łąd w ogóle zniknął. Dopłynęli do najdalej wysuniętego na północ cypla Australii i poprzez cieśninę, którą Cook nazwał cieśniną Endeavour (Endeavour Strait) znaleźli drogę do Indii Wschodnich.

Cypel nazwał przyłądkiem York (Cape York); później to miano nadano całemu półwyspowi. Przed opuszczeniem Australii, podobnie jak przedtem Nowej Zelandii i wysp Pacyfiku, Cook w imieniu Korony Brytyjskiej przejął nowy łąd na własność. Nazwał go Nową Południową Walią (New South Wales); miał tu na myśli tylko wschodnią część australijskiego kontynentu, ale oczywiście prawo własności objęło całość. To zupełnie nieprawdopodobne, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy jeden człowiek przyłączył zarówno Nową Zelandię, jak i Australię do Korony.

Zamiast płynąć prosto do Batawii, Cook musiał zaspokoić swoją nienasyconą ciekawość i sprawdzić, jak daleko na północ od przyłądka York znajdowała się Nowa Gwinea. Nikt przecież wtedy nie wiedział, czy Australia i Nowa Gwinea stanowią całość, czy nie. Przypuszcza się, że wprawdzie duże grono osób mogło wiedzieć, iż Torres odkrył cieśninę pomiędzy Nową Gwineą a Australią, lecz zatrzymali oni tę wiedzę dla siebie. Uważano, że jedną z tych osób był Aleksander Dalrymple, który miał nadzieję sam objąć dowództwo „Endeavour” i okryć się sławą dzięki odnalezieniu Cieśniny Torresa (Torres Strait). Przekazał on jednak tę informację Banksowi, który z kolei powiedział o tym Cookowi. Cook odniósł się do tej wiadomości z taką samą niechęcią, z jaką traktował Dalrymple’a. To doprawdy wysublimowana ironia losu, że

właśnie Cook w czasie swojej następnej wielkiej podróży miał zniszczyć marzenia Dalrymple'a o Wielkim Południowym Kontynencie.

Rafy były tu tak niebezpieczne, a wody tak płytkie, że „Endeavour” musiał trzymać się daleko od brzegu. Istniała nawet obawa, że stracą z oczu Nową Gwineę. Cook postanowił jednak podjąć próbę lądowania. Tubylcy z Zatoki Papui (Gulf of Papua) okazali się wyjątkowo wojowniczy i agresywni, więc kapitan rozkazał swoim ludziom się wycofać. „Endeavour” popłynął na wschód, przemierzył morza Arafura i Timor, a następnie zatrzymał się na krótko na wyspie Suva, znajdującej się pod kontrolą Holenderskiej Kompanii Indii Wschodnich. Tu przywitano Cooka gościnnie, mógł więc kupić zapasy świeżego mięsa, owoców i warzyw. „Endeavour” dotarł do Rowu Jawajskiego 22 września, lecz wiatry i prądy morskie były tak przeciwnie, że do Batawii, pierwszego cywilizowanego miasta od opuszczenia Rio de Janeiro dwa lata temu, zawinął dopiero 10 października.

Cook zebrał wszystkie dzienniki i zapiski, jakie prowadzili jego oficerowie i załoga, i razem ze swoimi własnymi wysłał do Biura Admiralicji w Londynie na pokładzie holenderskiego statku „Kronenburg”. Listy, które dołączył do tej przesyłki, stanowią zaskakującą lekturę. Wysoko i właściwie ocenił co prawda wartość wykonanych przez siebie map, pisząc: „Niewiele miejsc na ziemi ma dokładniej określone długość i szerokość geograficzną”, o wiele za skromnie jednak mówi o swych odkryciach. Prawie tłumaczy się z tego, że nie udało mu się odkryć Wielkiego Południowego Kontynentu i pisze: „W czasie tej wyprawy nie dokonano szczególnie wielkich odkryć”. Takie słowa z ust człowieka, który dopiero co zaanektował dla Korony Brytyjskiej Nową Zelandię i Australię!

W bardzo pochlebny sposób wyraża się w liście do Admiralicji o wszystkich swoich oficerach i marynarzach, jak również o towarzyszących mu naukowcach. W rzeczywistości na pewno część z nich zachowywała się nieco gorzej, niż opisuje to Cook, ale on o tym naturalnie nic nie wspomina; jego słowa są oznaką wrodzonej wielkoduszności. We wszystkich listach pozwala sobie na tylko jedno zdanie dowodzące zadowolenia z siebie: „Z satysfakcją stwierdzam, że podczas całej podróży nikt z moich ludzi nie zmarł na skutek choroby”.

Była to absolutna prawda. Jeśli nie liczyć jednej ofiary epilepsji i jednej zatrucia alkoholem, reszta ofiar tej wyprawy zmarła w wyniku utonięcia lub wycieńczenia, połączonego z konsumpcją ogromnych ilości rumu w śniegach Ziemi Ognistej. Ale nawet to krótkie zdanie, ta pozytywna ocena samego siebie, musiało okazać się najsmutniejszym, jakie kiedykolwiek napisał. Bowiem kłopoty zdrowotne załogi dopiero teraz miały się zacząć. Po podróży opasującej ziemski glob Cook przywiózł do Batawii zdrową załogę; kiedy ich stamtąd zabierał, statek przypominał szpital.

Batawia (odkąd Holendrzy utracili kontrolę nad Wschodnimi Indiami miasto to znane jest jako Djakarta) była wtedy najbardziej niezdrowym miejscem na kuli ziemskiej. Holendrzy wybudowali miasto na płaskiej nizinie, upodabiając je do miast holenderskich. Wzdłuż każdej prawie ulicy biegł kanał wodny, co nie szkodziło nikomu w chłodnym klimacie Amsterdamu, ale było zabójcze w parnym, wilgotnym, rozgrzanym powietrzu tropików. Kanały były strasznie brudne, pełne ścieków i śmieci, a woda była w nich prawie nieruchoma. Stanowiły idealne miejsce dla rozwoju zarazków, bakterii, wirusów wielu — w znakomitej większości śmiertelnych — chorób tropikalnych i roznoszących je komarów. Malaria kwitła wszędzie, głównym zabójcą była jednak dyzenteria. Banks utrzymuje — a my nie mamy powodu nie wierzyć jego dokładnemu umysłowi naukowca — że z każdego stu żołnierzy przysyłanych z Holandii do garnizonu w Batawii, pięćdziesięciu umierało zwykle już przed końcem pierwszego roku służby, dwudziestu pięciu trafiało do szpitala, a zdolnych do pełnienia służby pozostawało około dziesięciu. Ta przerażająca statystyka wydaje się prawie nieprawdopodobna, ale słowa Banksa



potwierdził jeszcze sam Cook: kiedy opuszczał Batawię, holenderscy dowódcy statków mówili mu, że i tak powinien uważać się za szczęściarza, bo nawet połowa jego załogi nie umarła z chorób.

Tuż po Bożym Narodzeniu, w pełni już gotowy do dalszej podróży, „Endeavour” wyruszył w morze. Siedmiu ludzi z załogi już zmarło, a ponad czterdziestu było tak poważnie chorych, że nie mogli pełnić służby. Reszta marynarzy, napisał Cook, też była w marnym stanie. Wśród siedmiu zmarłych byli: chirurg okrętowy, Tupia i jego sługa, służący astronoma Greena i trzech marynarzy. Banks także się rozchorował, ale ratował się dużymi dawkami chininy i przebywaniem w świeżym i chłodniejszym powietrzu gór nad Batawią.

Cook musiał więc opuszczać miasto, biorąc kurs na Cookstown, z ogromną ulgą i przekonaniem, że najgorsze już minęło. Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Zapiski w dziennikach z dziesięcioletniej podróży między Batawią a Przylądkiem Dobrej Nadziei są po prostu przerażające. W ciągu pierwszych czterech tygodni umarł jeden marynarz, ale już w następnym dziesięciu ludzi, wśród nich Green i Parkinson, rysownik okazów przyrodniczych. W lutym zmarło dwunastu członków załogi. Oznaczało to, że w ciągu krótkiej, w porównaniu do reszty trasy, podróży z Indii do Afryki zmarła jedna czwarta ludzi, z którymi Cook opuścił Anglię. W pewnym, szczególnie dramatycznym momencie, pozostało dwunastu ludzi zdolnych do obsługi statku, a i oni ledwo się ruszali.

Odporności Cooka nie przełamał żaden wirus; musiał mieć naprawdę żelazne zdrowie. Równie prawdopodobne jest jednak, że chorował, ale ani o tym nie pisał, ani nie okazywał słabości. Nie pisał przecież o swoim samopoczuciu ani wcześniej, kiedy na wybrzeżu Nowej Fundlandii wybuch prochu prawie oderwał mu prawą dłoń, ani później, gdy zachorował na ciężkie zapalenie woreczka żółciowego.

„Endeavour” zawinął do Cape Town 14 marca. Przewieziono do szpitala około trzydziestu w dalszym ciągu poważnie chorych ludzi. Cook pozostał więc bez połowy załogi, a z pozostałych na pokładzie mniej niż dwudziestu mogło normalnie wykonywać obowiązki. Na szczęście Cookowi udało się zaciągnąć w Cape Town nową załogę, żeby z jej pomocą dopłynąć do Anglii.

W szpitalu w Cape Town umarło trzech chorych. W połowie kwietnia Cook zabrał ozdrowieńców na pokład i podniósł kotwicę. Niektórzy z rekonwalescentów byli jeszcze tak chorzy, że jeden z nich zmarł nim wyszli z Zatoki Stołowej. W drodze do Anglii umarł także pomocnik Hicks, który od dawna chorował na gruźlicę. I w końcu, 12 lipca 1771, w dwa lata i jedenaście miesięcy po wypłynięciu „Endeavour” powrócił do domu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY ANTARKTYKA I POLINEZJA

Miło byłoby w tym momencie napisać, że po powrocie do Anglii Cook choć na chwilę został bohaterem, ale tak się nie stało. W oczach opinii publicznej i członków Royal Society to Banks i Solander byli bohaterami i oni się liczyli. To oni przywieźli dowody istnienia tych cudownych ziem na drugim końcu świata, trofea, skóry zwierząt i ptaków, o których świat dotąd nic nie wiedział, spreparowane ryby, które widziano po raz pierwszy, niezliczone ilości nieznanych Europie insektów i roślin. Obliczono, że nieszczęsny Parkinson wykonał ponad tysiąc pięćset rysunków i szkiców nieznanych okazów fauny i flory. Bez wątplenia Banks i jego towarzysze zasługiwali na wszystkie te pochwały: zachowali się przecież wspaniale w bardzo ciężkich warunkach i chyba tylko sam Darwin mógłby dorównać ich osiągnięciom w torowaniu nowych dróg naukom przyrodniczym. Może więc jest to zrozumiałe, że wieńczono laurami Banksa i jego przyjaciół, podczas gdy Cooka traktowano jako kogoś w rodzaju szofera, który woził ich z miejsca na miejsce.

Naturalnie przyjęcie, jakie im zgotowano, uzależnione było także od ich charakterów i pozycji w świecie. Banks był bogatym, młodym salonowcem z całą masą wpływowych przyjaciół i uwielbiał stać w świetle jupiterów. Cook, skryty, broniący swojej prywatności za wszelką cenę, unikał tych światła, kiedy tylko mógł. Najwyraźniej nie zależało mu na publicznych pochwałach. Wyruszył, żeby czegoś dokonać, osiągnął to i ten fakt był jedyną nagrodą, jakiej oczekiwał.

Ale nawet Cookowi musiały sprawiać satysfakcję wyrazy uznania, jakie otrzymał od profesjonalistów, jedynych ludzi, którzy potrafili w pełni docenić ogrom jego osiągnięć. Lordowie admirałowie, zazwyczaj niezwykle wstrzemięźliwi w wyrażaniu podziwu, zasypali Cooka tak entuzjastycznymi pochwałami, że na pewno poczuł się tym zaskoczony. Oczywiście biorąc pod uwagę jego sukcesy, żadne uznanie nie mogło być zbyt wielkie.

Nie ma wątpliwości, że zwierzchnicy Cooka uważali go teraz za największego odkrywcę i żeglarza swoich czasów. Nie ma też wątpliwości, że jego pochodzenie i lata, które spędził bez stopnia oficerskiego jako prosty marynarz, zostały zupełnie zapomniane. Teraz był jednym z „nich”, bliskim i szczerym przyjacielem możliwych świata marynarki. Musimy jednak pamiętać — i nie jest to cyniczna uwaga — że Cook po swoim wielkim sukcesie był najwspanialszym od wielu lat reprezentantem i atutem tego świata, a jego osiągnięcia stanowiły także dowód dalekowzroczności i bystrości umysłu tych, którzy wybrali właściwego człowieka do tego zadania, a więc samych lordów admirałów.

Nie pozwolono więc, żeby jego zasługi poszły w zapomnienie. Tuż po powrocie awansowano Cooka na komandora i oddano mu dowództwo na H.M.S. „Scorpion”. Członkowie Admiralicji nie mieli jednak zamiaru pozwolić mu nim pływać; było to jedynie przyznanie stałego miejsca pracy, dzięki czemu otrzymywał pełny żołd i mógł się w zupełności poświęcić znacznie ważniejszej sprawie — przygotowaniom do nowej wyprawy na morza południowe\*.

Nie wiadomo na pewno, kto był spiritus movens tego pomysłu, ani też co było głównym motywem drugiej wyprawy. Czasem takie projekty biorą się znikąd, potem zaczyna się o nich rozmawiać, jeszcze później mówi się o konkretach, aż w końcu pomysł zyskuje ogólną aprobatę i staje się rzeczywistością. Z całą pewnością do idei drugiej wyprawy przyłożyli rękę członkowie Królewskiego Towarzystwa. Uważali się oni za prawie samorządne ciało i wywierali potężny

---

\* W oryginale South Sea — tak nazywano Ocean Spokojny (Pacyfik).

wpływ na ludzi ówczesnego establishmentu. Na pewno i sam Cook nie zachowywał się pasywnie: jak wszyscy wielcy odkrywcy, gdy raz już poznał smak radości i satysfakcji płynących z badania terenów nie odkrytych, nie potrafiliby spocząć, póki znowu nie ruszyli w morze. Na pewno i czołowi geografowie tego okresu, zwłaszcza Aleksander Dalrymple, który wciąż jeszcze wierzył w istnienie południowego kontynentu, nalegali na podjęcie drugiej wyprawy. Wszystko wskazuje jednak na to, że decyzję podjęli lordowie admirałowie.

Uważali prawdopodobnie, że istnieje możliwość natrafienia na mityczny południowy kontynent lub jakiś nie odkryty jeszcze kraj lub wyspę, którą można będzie natychmiast zaanektować dla Korony. Była to z pewnością intrygująca i kusząca wizja, a co więcej, można było brać ją jeszcze pod uwagę — morza południowe były w dalszym ciągu ogromną niewiadomą. Poza opłynięciem przylądka Horn, South Island (Wyspy Południowej) i Nowej Zelandii Cook prawie nie wypłynął poza czterdziesty stopień szerokości południowej. Bardzo możliwe, że powiedzieli Cookowi, co następuje: powinien wyruszyć w następną wielką podróż odkrywczą — mniej ważne wydawało się gdzie dokładnie

— i zyskać nowe zasługi, honory i sławę dla siebie i swojego kraju. A także przy okazji dla lordów admirałów.

Na poparcie tych przypuszczeń należy powiedzieć, że Cook nie otrzymał żadnych dokładnych instrukcji co do drugiej podróży, najbardziej zdumiewającej wyprawy, jaką kiedykolwiek przedsięwzięto. Nikt już nigdy podobnej nie zorganizował, choćby dlatego, że kiedy Cook skończył penetrację wód na tych szerokościach geograficznych (czterdziesty stopień i powyżej), w trakcie trwającej ponad trzy lata wyprawy, bardzo mało pozostało już tam do odkrycia.

Nie ma wątpliwości, że Cookowi dano *carte blanche* co do tego, gdzie powinien wyruszyć i co robić. Można tego łatwo dowiedzieć. W dzienniku ze swojej pierwszej wyprawy Cook pisał:

„Mam nadzieję, że wolno mi będzie zwrócić uwagę, iż najlepszą metodą dokonania następnych odkryć na Morzu Południowym jest dotarcie tam poprzez Nową Zelandię, drogą przez Przylądek Dobrej Nadziei. Stamtąd należałoby się udać na południe od Nowej Holandii ku Queen Charlotte Sound. Tam odświeżyć zapasy i dokonać ewentualnych napraw, tak by być gotowym do wyruszenia pod koniec września lub najdalej na początku października. Wtedy miałyby się przed sobą całe lato; po przepłynięciu przez cieśninę można by, ze sprzyjającymi wiatrami zachodnimi, płynąć na wschód do dowolnej szerokości geograficznej. Gdyby nie udało się trafić tam na żadne lądy, można by mieć wystarczająco dużo czasu na opłynięcie przylądka Horn przed końcem lata. Gdyby jednak tam też nie udało się napotkać żadnego kontynentu i gdyby ktoś miał jeszcze inne cele, można by popłynąć na północ, odwiedzić niektóre już odkryte wyspy, po czym żeglować z wiatrem z powrotem na zachód i dalej prowadzić poszukiwania — w ten sposób badania terenów Morza Południowego byłyby ukończone”.

(Czytając początki tego fragmentu można nie do końca zrozumieć, o co chodzi. Cook miał na myśli, że następna wyprawa powinna dotrzeć do Cape Town, a następnie do Cook Strait [Cieśniny Cooka] w Nowej Zelandii. Stamtąd mieliby się udać na wody Antarktyki).

Ponieważ był to dokładny zarys trasy, którą Cook miał popłynąć, nie ma wątpliwości, że lordowie admirałowie w pełni się z nim zgadzali. Przystali także na następne dwa żądania Cooka: dysponowanie statkiem większym niż „Endeavour”, który uważał za zbyt ciasny, a także dodanie drugiego jako eskorty.

Ponieważ Cook uważał „Endeavour” — poza wielkością — za świetnie dostosowany do celów wyprawy, Admiralicja zakupiła dwa transportowce z Whitby: „Marguis of Granby”, czterystusześćdziesięciodwutonowiec mieszczący stoosiemnastoosobową załogę i „Marguis of Rockingham”, trzystupięćdziesięciotonowiec z załogą liczącą osiemdziesiąt osiem osób. Po zakupie zmieniono ich nazwy na „Drake” i „Ra—eigh”. Przeważała jednak polityczna mądrość.

Hiszpanie ciągle jeszcze mieli ochotę na tereny na Pacyfiku, a nawet uważali wody oceanu za swoją prywatną własność, uznano więc, że takie nazwy statków mogłyby być dla nich równą obrazą, co działania Drake'a i Raleigha prawie dwieście lat temu. Nazwano więc je w końcu „Resolution” („Determinacja”) i „Adventure” („Przygoda”).

Jako pierwszy oficer miał popłynąć porucznik Cooper, krewny przyjaciela Cooka, Pallisera. Mieli mu też towarzyszyć porucznicy Pickersgill i Clerke — obaj byli z nim wcześniej na „Endeavour”, a jeszcze wcześniej z Wallisem na „Dolphinie”. Brali więc już udział w dwóch wyprawach dookoła świata — Cook mógł liczyć na doświadczonych asystentów. „Adventure” miał dowodzić Tobias Furneaux, bardzo doświadczony oficer, który płynął już dookoła świata z Wallisem. Jego pomocnikami byli Shank i Kempe.

Pojawił się projekt, żeby Banks, towarzyszący mu naukowcy i służba wzięli udział i w tej wyprawie. Źródła różnią się co do jego pomysłodawców — miał jakoby taką propozycję wysunąć lord Sandwich (wtedy Pierwszy Lord Admiralicji), Royal Society i sam Banks. Nie ma to szczególnego znaczenia — Banks ze swoją fortuną i koneksjami wśród najbardziej wpływowych osobistości został bez zbędnych dyskusji przyjęty.

Niestety, długi okres królowania w najlepszych salonach Londynu wywarł chyba niekorzystny wpływ na trzeźwy osąd Banksa. Od początku przyjął, że Cook będzie po prostu jego oceanicznym szoferem, a on, Banks, będzie podejmował decyzje co do tego, gdzie popłyną i jak długo zatrzymają się w danym miejscu. Chciał także zabrać ze sobą ni mniej ni więcej tylko piętnaście osób, w tym dwóch graczy na rogach, którzy mieliby uprawiać swą sztukę dla jego przyjemności. Kiedy w końcu zobaczył „Resolution”, uznał, że nie nadaje się ona na środek transportu dla dżentelmena. Bezczelnie zasugerował, żeby postarać się o większy statek. Sugestię tę Admiralicja oczywiście odrzuciła. Zaproponował wtedy, żeby powiększyć wielką kabinę i położyć jeszcze jeden pokład na już istniejącym. Te zabiegi miały zapewnić wystarczająco dużo miejsca jemu, jego towarzyszom i całej masie sprzętu naukowego. Zdumiewające, ale na to Admiralicja wyraziła zgodę.

Kiedy dokonywano tych zmian, Cook, poza doglądaniem przygotowań do wyprawy i rekrutacją załóg, miał jeszcze inne problemy. Przygotowywana była właśnie oficjalna wersja jego dzienników z „Endeavour”. Nie zajmował się tym jednak sam. Uznano, że jest tylko prostym żeglarzem, któremu brak właściwego doświadczenia w pracy literackiej i zaproponowano wyszlifowanie ostatecznej wersji pewnemu luminarzowi i dobremu znajomemu doktora Johnsona, doktorowi Johnowi Hawkesworth. Dostał on to zlecenie lub też sam je sobie załatwił; jeśli miało miejsce to drugie, to musiał nieźle się starać, ale i miał o co — obiecano mu za tę pracę sześć tysięcy funtów, w owych czasach fortunę.

Hawkesworth był pedantycznym idiotą o wyobraźni bez granic. Rezultatem jego starań okazała się trawestacja pracy Cooka. Z autorem dzienników konsultowano się często, jednak Hawkesworth nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co Cook mówił. Zredagował zapiski tak, jak to uznał za słuszne, zignorował protesty autora i przed publikacją nie dał mu możliwości ani powtórnej redakcji, ani wniesienia poprawek. Szczęśliwie się więc złożyło, że Cook był na morzu, gdy książka się ukazała. Warto zauważyć, że kilka lat temu pewien doktor Beaglehole wydał oryginalne dzienniki Cooka. Jest to tak nieporównanie lepsza lektura, że nie wydaje się, żeby ktokolwiek, może poza historykami, kiedykolwiek jeszcze chciał sięgnąć po książkę Hawkeswortha.

W tym czasie Cook miał także problemy z Royal Society, którego członkowie uznali, że nie są zadowoleni z wyników badań przejścia Wenus. To prawda, że większość ich krytycznych uwag skierowana była do Greena. Ten jednak nie żył, a Cook uważał, że powinien go bronić. Uczynił to z takim gniewem i goryczą, że jego odpowiedź musiano pominąć w oficjalnej kopii

czasopisma Towarzystwa.

W tym samym czasie ukończono przebudowę „Resolution”. Ostateczny efekt tych prac ogromnie obniżył stabilność statku. Nadburcie było tak ciężkie, że istniało niebezpieczeństwo wywrócenia, nawet na względnie spokojnym morzu. Człowiek, który pilotował go do ujścia Tamizy, nie chciał postawić wszystkich żagli w obawie przed zatonięciem ani też doprowadzić go dalej niż do Norę. Porucznik Clerke, który brał udział w tym przygnębiającym incydencie, napisał: „Na Boga, jeśli mi każą, to mogę wyruszyć w morze i w beczulce po grogu, i na »Resolution«; muszę jednak powiedzieć, że uważam ten statek za najbardziej niebezpieczny, jaki widziałem i o jakim słyszałem”.

Admiralicja była najwidoczniej tego samego zdania. Na rozkaz lordów „Resolution” zabrano z powrotem do doków i rozebrano nadbudowane części. Podobno Banks, kiedy to zobaczył, „przeklinał i tupał na nadbrzeżu jak jakiś szaleniec”, usunął ze statku wszystkie swoje rzeczy, a następnie napisał do Admiralicji list potępiający te decyzje. Żądał w nim także natychmiastowego zapewnienia większego statku. Widać jednak lordowie admirałowie mieli już dosyć Banksa, jego uwag i przekonania o własnej wielkości. Zwrócili mu bowiem uwagę, że jest w wielkim błędzie, jeśli wydaje mu się, że ta wyprawa jest organizowana tylko i wyłącznie dla niego i jeśli sądzi, że to on będzie nią kierował i grał w niej pierwsze skrzypce. Wściekły Banks popłynął więc w swoją prywatną podróż do Islandii. Ciekawe jednak, że wydarzenia te nie wpłynęły w jakikolwiek negatywny sposób na przyjaźń pomiędzy nim a Cookiem; kiedy Cook powrócił z drugiej podróży, nikt nie witał go goręcej i bardziej entuzjastycznie niż Banks.

Musiano kimś zastąpić naukowców i artystów, którzy odeszli z Banksem. Grupie naukowców miał przewodzić znany niemiecki przyrodnik, John Reinhold Forster (był Szkotem z pochodzenia, stąd nazwisko), zgorzkniały, małoduszny człowiek, który narzekał na wszystko i wszystkich od momentu, gdy postawił stopę na pokładzie. Był jednak bez wątpienia dobrym przyrodnikiem. Towarzyszył mu, o wiele bardziej sympatyczny, syn George, który wykonywał rysunki okazów przyrodniczych. Jako pejzażysta popłynął William Hodges, który świetnie spełnił swoje zadanie, jako astronom William Wales, który razem z Cookiem miał przetestować sprawność nowego typu chronometru w określaniu długości geograficznej na morzu (inny astronom, William Bayly, płynący na pokładzie „Adventure”, miał dokonać tych samych badań).

Rok i jeden dzień po powrocie „Endeavour” z pierwszej wyprawy, 13 lipca, „Resolution” i „Adventure” podniosły kotwice w Plymouth.

Podróż na południe do Cape Town upłynęła stosunkowo spokojnie. Cook stracił jednego człowieka, który wypadł za burtę, a Furneaux kilku midszipmenów. Zmarli oni na gorączkę, którą zarazili się w czasie postoju na Cape Verde Island (Wyspy Zielonego Przylądka). (Wcześniej oba statki zatrzymały się na Maderze, skąd zabrały zapasy owoców i warzyw oraz naturalnie miejscowego wina).

Do Cape Town dopłynęli 30 października. Cook był wściekły, bo zapasy, które zamówili z dużym wyprzedzeniem, jeszcze nie dotarły na miejsce; musiał na nie czekać cały miesiąc. Podczas tego przymusowego postoju dowiedział się o obecności i działaniach francuskich statków na Oceanie Indyjskim i Pacyfiku. Dwa statki, które wypłynęły z wyspy.

Mauritius, podobno odkryły na południe od niej ląd — co nie było prawdą, ale rzeczywiście było to na czterdziestym ósmym stopniu szerokości geograficznej południowej. Dwa inne francuskie statki pod dowództwem Marion du Fresne dotarły do Nowej Zelandii w marcu 1772 roku. W czerwcu ich dowódca zginął z rąk Maorysów w Bay of Plenty (Zatoce Obfitości), a reszta odpłynęła do domu nazwawszy Nową Zelandię Austral-France (Austral-Francją) i zaanektowawszy ją w imieniu króla Francji. Nie mieli pojęcia, że dwa lata wcześniej zrobił to już Cook w imieniu króla Anglii. W przeciwieństwie do swojego poprzednika, Francuzi nie opłynęli

jednak wyspy i nie wykonali jej map.

Także podczas pobytu w Cape Town, ojciec i syn Forsterowie spotkali znanego szwedzkiego botanika, kiedyś ucznia Linneusza, Andersa Sparrmana. Zwrócili się do Cooka z prośbą, by Sparrman mógł płynąć z nimi. Cook wyraził zgodę. Wiele to mówi o dość beztróskim stosunku do podróży w tamtych czasach — człowiek zajęty pracą naukową w Cape Town, bez zbytniego zastanawiania, po prostu wszedł na pokład statku, który, jak go wcześniej ostrzeżono, nie miał zawijać do żadnych cywilizowanych miejsc przez co najmniej dwa lata.

Po zebraniu odpowiednich na długi pobyt w morzu zapasów — ładownie obu statków zawierały teraz duże ilości żywego inwentarza — wyruszyli w morze 22 listopada. Cook miał zamiar najpierw podjąć próbę zlokalizowania wyspy o przedziwnej nazwie Cape Circumscion. Myślał w każdym razie, że będzie to wyspa: mógłby to być także przylądek osławionego południowego kontynentu. Uważano, że powinna się ona znajdować tysiąc siedemset mil na południe od Przylądka Dobrej Nadziei. Dostrzegł ją pewien kapitan Bouvet, który cieszył się opinią dobrego obserwatora. Było możliwe, że jego spostrzeżenie wiązało się z niedawnym odkryciem Wyspy Kerguelena, która znajdowała się na mniej więcej tej samej szerokości geograficznej, była jednak wysunięta o wiele bardziej na wschód. Wydawało się też prawdopodobne, że obie są częścią południowego kontynentu.

Cook nigdy nie odnalazł Cape Circumscion i trudno się temu niepowodzeniu dziwić. Wyspa ta istnieje, dziś znana jako Wyspa Bouveta, jest jednak tylko maleńkim punkcikiem na ogromnym obszarze południowego Atlantyku. Przez dwa lub trzy tygodnie, przy strasznej pogodzie i wichurach, Cook przemierzał wody w poszukiwaniu tego maleństwa. Doszedł w końcu do wniosku, że wyspa nie istnieje. Jest oczywiste, że namiary, jakie dostał, były zupełnie błędne, bo inaczej bez wątpienia Cook z pomocą nowego i wyjątkowo dokładnego chronometru Kendalla potrafiłby z największą precyzją odnaleźć każdą, nawet najmniejszą wysepkę na Atlantyku. Nie uważał jednak tego czasu za stracony, bo ustalił przynajmniej, że na tych wodach nie znajdowała się żadna część południowego kontynentu.

Chociaż pod tą szerokością geograficzną zbliżał się właśnie środek lata, panował dotkliwy chłód, załoga znowu musiała przywdziać sztormiaki, zwierzęta padały z zimna, a w połowie grudnia dostrzegli pierwsze góry lodowe. Cook postanowił raz jeszcze poszukać znikającej wysepki, a potem zaprzestać poszukiwań.

Dzień Bożego Narodzenia był zimny, ale pogoda świetna. Załoga, jak sarkastycznie zauważył Cook, „miała ochotę na spędzenie tego dnia w swój specjalny sposób. Od pewnego już czasu odkładali racje alkoholu na tę okazję, a że i ja dołożyłem im dodatkowe porcje, na pokładzie panowała ogólna wesołość i dobry humor”. Jak skomentował to John Forster — „dzikie wrzaski i pijaństwo”.

W pierwszej połowie stycznia Cook stracił nadzieję na znalezienie Wyspy Bouveta. Skierował statki najpierw na południowy wschód, a potem na południe ku wodom Antarktyki. Chciał dotrzeć jak najgłębiej w poszukiwaniu nieznanego kontynentu, przy istnieniu którego upierał się Dalrymple. Wszędzie dookoła pływały wyższe niż maszty góry lodowe, pływające wyspy w cudownych pastelowych kolorach, głównie niebieskozielonych, choć niektóre wydawały się beżoworóżowe. Niektóre były wielkości statków, inne wysokie i szerokie na dwie mile. Nie stanowiły zagrożenia, jeśli śnieżyce i mgły nie ograniczały widoczności, bowiem o tej porze roku zupełna ciemność nie zapadała nigdy. Nie były więc niebezpieczne, jeśli tylko statki nie podpływały do nich zbyt blisko: dryfowały na pomoc, a ich podwodne części roztopiały się w stosunkowo cieplej wodzie. Zdarzało się dość często, że z powodu tej podwodnej erozji góry lodowe traciły nagle stabilność i przewracały się na bok. Zadaniem rozważnego kapitana było zachowanie bezpiecznej odległości.

Zaczął im wtedy doskwierać brak świeżej wody — najprostszym rozwiązaniem było więc rozpuszczanie zebranego lodu. Kiedy natrafiali na pole lodowe składające się z niezbyt wielkich kawałów, spuszczały szalupy i znosili na statki lód — Cook wspomina, że kiedyś zebrali jednorazowo około piętnastu ton. Woda otrzymana w ten sposób nie zawierała soli, miała jednak inny smak niż świeża. Wszyscy, którzy jej używali, zapadli na opuchlinę gruczołów gardła. Zdaniem Forstera, który miał najprawdopodobniej rację, działało się tak, ponieważ lód w przeciwieństwie do świeżej wody nie zawiera wolnego tlenu.

17 stycznia 1773 statki Cooka przepłynęły koło Antarctic Circle (Koło Podbiegunowe). Były to pierwsze żaglowce, którym się to udało. Już następnego dnia natrafili na pierwsze pole stałego lodu — lodu, który powstaje po zamrożeniu powierzchni morza, w odróżnieniu od gór lodowych powstałych z fragmentów lodowca na lądzie. To pole, rozciągające się aż po horyzont, było tak grubą warstwą, że „Resolution” i „Adventure” nie mogły posuwać się dalej. Cook popłynął na północ. Musiał być raczej zadowolony: jeśli nawet południowy kontynent Dalrymple’a istniał, to coraz bardziej kurczył się jego domniemany obszar.

Na początku lutego „Resolution” i „Adventure” płynęły w stosunkowo ciepłym klimacie i wodach czterdziestego ósmego stopnia szerokości południowej, szukając Wyspy Kerguelena. Intensywne poszukiwania nie przyniosły jednak żadnego rezultatu, co, spoglądając z obecnej perspektywy, nie wydaje się ani trochę dziwne. Cook szukał wyspy w zupełnie niewłaściwym miejscu. Podano mu prawidłową szerokość geograficzną — czterdziesty ósmy stopień południowej — ale długość niestety kompletnie błędną. Powiedziano mu, że Wyspa Kerguelena znajduje się na południe od wyspy Mauritius. Cook wiedział, że Mauritius leżał na pięćdziesiątym siódmym stopniu trzydziestej siódmej minucie długości geograficznej wschodniej. Wyspa Kerguelena znajduje się tymczasem na siedemdziesiątym stopniu długości geograficznej wschodniej, tak więc Cook prowadził poszukiwania setki mil na zachód od rzeczywistej lokalizacji.

Warunki meteorologiczne były teraz ekstremalne. Stale wiały gwałtowne wiatry z południowego zachodu, a morze straszliwie karało oba statki. Jeśli nawet wiatr cichł na krótko, natychmiast pojawiała się gęsta mgła. To w takiej właśnie mgłę, 8 lutego, „Resolution” i „Adventure” straciły ze sobą kontakt. Przez trzy dni „Resolution” krążył dookoła, oddając co godzinę wystrzał z działa w ciągu dnia, a nocą odpalając sygnały świetlne. Nie znaleźli „Adventure”. Cook nie przejmował się tym zbytnio. Przypuszczał, że coś takiego może się wydarzyć i już wcześniej ustalił z dowódcą „Adventure”, że spotkają się w Queen Charlotte Sound w Nowej Zelandii. Nie wątpił, że „Adventure” tam dotrze — Tobias Furneaux był przecież doskonałym żeglarzem.

Pogoda była tak straszna, że najłatwiej byłoby skorzystać z potężnych wiatrów południowo—zachodnich i popłynąć wprost ku Cieśninie Cooka w Nowej Zelandii. Ale kiedy Cook wpadał w trans odkrywania, nie istniały dla niego łatwe rozwiązania. Zwrócił „Resolution” na południowy wschód i znów ruszył na polarne wody. Przy tak złych warunkach nie odważył się jednak zaprowadzić statku tak daleko jak 17 stycznia (gdyby mu się wtedy udało, na tej długości geograficznej mógłby odkryć Antarktykę — w tym obszarze część Wilkes Land [Ziemi Wilkesa] znajduje się bowiem na północ od Koła Podbiegunowego).

Zamiast tego Cook posuwał się (jeśli wolno tak powiedzieć, biorąc pod uwagę warunki pogodowe) na wschód przez około trzy tygodnie, na mniej więcej sześćdziesiątym równoleżniku, chociaż raz wysunął się na sześćdziesiąty drugi stopień południowy. Znalazł się wtedy w odległości trzystu mil od Wilkes Land (17 stycznia znajdował się już znacznie bliżej Antarktyki). W ciągu całego tego okresu nie dostrzegli żadnego lądu, nawet najmniejszej wysepki: nie było nic poza bezkresem lodowatych, burzliwych wód. Dopiero 17 marca Cook skierował

„Resolution” na północny wschód, do Nowej Zelandii. Był zadowolony. To prawda, że nic nie odkrył, ale ustalił jeden niepodważalny fakt: gdziekolwiek był Wielki Południowy Kontynent — a jeśli w ogóle istniał, to chyba nie był wielki, tylko raczej coraz mniejszy — z całą pewnością nie było go w rejonie południowych szerokości geograficznych pomiędzy południową Afryką a Nową Zelandią. Mówiąc ogólnie, Cook ustalił, że południowy kontynent nie znajdował się w rejonie południowego Oceanu Indyjskiego; musiał tylko jeszcze się upewnić, czy nie ma go przypadkiem na południowym Pacyfiku lub południowym Atlantyku.

Żeby w pełni docenić rozmach osiągnięć Cooka, musimy ciągle pamiętać, że nikt przed nim nie spenetrował tak dalekich południowych wód Oceanu Indyjskiego ani Pacyfiku, ani Atlantyku. Cook miał dokonać tych trzech rzeczy w czasie jednej, rzucającej na kolana podróży. To wszystko oczywiście było dodatkiem do dwukrotnego przepłynięcia środkowego Pacyfiku: pierwsze, o mniejszym zasięgu, objęło obszar, w jakim z łatwością mogłaby się zmieścić Australia, drugie prowadziło z głębokiej Antarktyki prawie do równika, poprzez wiele tysięcy mil z Nowej Zelandii do wschodniego wybrzeża Wyspy Wielkanocnej. Jest to osiągnięcie na skalę tak ogromną, że prawie wymyka się zrozumieniu — z pewnością była to największa wyprawa badawcza, jaką kiedykolwiek podjęto na Pacyfiku.

Początkowo Cook zamierzał popłynąć od razu do Cieśniny Cooka i spotkać się z Furneaux w Queen Charlotte Sound. Zmienił jednak zamiar i postanowił zarzucić kotwicę w pierwszym bezpiecznym i dostępnym miejscu — Dusky Sound na południowo—zachodnim cyplu South Island. Miejsce to spostrzegł w trakcie pierwszego opływania wyspy. Jako powód podał chęć zbadania naturalnych zasobów tego terenu i ocenę możliwości Dusky Sound jako portu. Naprawdę chciał jednak pozwolić załodze wypocząć i odzyskać siły. Za nimi była już stusiedemnastodniowa podróż — prawie cztery miesiące w morzu, bez choćby widoku lądu, prawie cztery miesiące ostrego zimy i wyczerpujących wichur. I chociaż John Forster uwielbiał narzekać, tym razem najprawdopodobniej miał rację, opisując tę podróż jako nie kończący się ciąg dni w niesprzyjających warunkach, najcięższych, jakich kiedykolwiek doświadczył.

Sześć tygodni później, z wypoczętą i sprawną załogą, Cook popłynął na północ, żeby spotkać się z „Adventure”. Znaleźli statek i jego załogę wypoczywających na pięknych i spokojnych wodach Queen Charlotte Sound. Furneaux bardzo szybko, z pomocą sprzyjających silnych wiatrów, dopłynął z miejsca, gdzie stracili kontakt, do Tasmanii. Odległość ponad trzech tysięcy mil pokonał w dwadzieścia sześć dni. Popłynął na północ wzdłuż wschodniego wybrzeża Tasmanii, by raz na zawsze zdecydować, czy pomiędzy Tasmanią a Australią znajduje się cieśnina. Z jakiś zupełnie niezrozumiałych powodów Furneaux i jego oficerowie doszli do wniosku, że nie ma tam żadnej cieśniny, a jedynie bardzo głęboka zatoka. Cook uwierzył Furneaux, przyjął jego opinię do wiadomości i już nigdy miał nie badać tych wód.

Furneaux musiał być bardzo zawiedziony, kiedy Cook po przybyciu na miejsce spotkania nie tylko nie dopuszczał myśli o dalszym leniwym wypoczynku, ale kazał natychmiast stawiać żagle na „Adventure”. Nie miał zamiaru spędzać zimy w Queen Charlotte Sound. Przybyli tu przecież, żeby odkrywać i badać i to właśnie miał zamiar robić. Chociażby po to, żeby dowieść, iż nadejście zimy wcale nie musi oznaczać końca poszukiwań nowych terenów. Chciał zbadać obszary znajdujące się na wschód i północ od Nowej Zelandii: były to w zdecydowanej części obszary dziewicze.

„Resolution” i „Adventure” wypłynęły z Queen Charlotte Sound 7 lipca, przebyły Cieśninę Cooka i przez kilka tygodni płynęły mniej więcej na wschód, nic nie napotykając po drodze. Później wzięły kurs bardziej na północ. Mieli nadzieję, że uda im się zlokalizować wyspę Pitcairn, którą w 1767 odkrył Carteret. Cook musiał jednak zmienić plany. 29 lipca dostał przerażającą wiadomość od Furneaux, który sam cierpiał wtedy z powodu ostrego zapalenia



korzonków nerwowych, że jeden człowiek z załogi „Adventure” zmarł, a dwudziestu było poważnie chorych. Cook natychmiast wszedł na pokład „Adventure” i przekonał się, że nie tylko dwudziestu ludzi zachorowało, ale i reszta załogi była w kiepskim stanie. Ku wściekłości Cooka okazało się, że przyczyna w każdym wypadku była ta sama — szkorbut. Sprawa była prosta — Furneaux nie pofatygował się, żeby zmusić swoją załogę do przestrzegania żelaznej diety Cooka. Warto odnotować, że na pokładzie „Resolution” nikt nie chorował.

Kapitan odłożył więc plany badawcze i zatrzymał się na Tahiti. Powrót do zdrowia załogi „Adventure” był ważniejszy od nowych wysp i trzeba było znaleźć jak najszybciej bezpieczne schronienie, gdzie można by ich leczyć. Najbliższym takim miejscem — w tej części Pacyfiku — było Tahiti.

Mniej więcej w dwa tygodnie później Cook po raz drugi zszedł na ląd Tahiti. Chciał od razu zaopatrzyć się w świeże warzywa i owoce, zatrzymał się więc w Vaitepiha Bay na południowym wschodzie. Niewiele brakowało, by w ogóle było to jego ostatnie miejsce postoju. Kiedy stali tuż przy wejściu do portu kupując owoce od Tahitańczyków, którzy podpływali czółnami, wiatr ucichł zupełnie. Potężny prąd pchnął „Resolution” na rafę koralową; wydawało się, że mimo wysiłków kapitana i załogi statek zderzy się z rafą. W ostatnim momencie powiała bryza od lądu, odrzucając „Resolution” od rafy. Sparrman, szwedzki botanik, nie mógł nadziwić się opanowaniu i zimnej krwi Cooka i jego ludzi nawet w najgorszym momencie; był jednak, jak napisał, zaszokowany językiem, jakiego używał wtedy dowódca. Ktoś inny napisał, że po tej wyjątkowo ciężkiej sytuacji Cook musiał pokrzepić się brandy. Wydaje się to wyjątkowo mało prawdopodobne.

Cookowi nie udało się zakupić świeżego mięsa w Vaitepiha Bay, popłynął więc wraz z „Adventure” dookoła wyspy i zarzucił kotwicę w dawnym porcie „Endeavour”, Matavai Bay. Jego i piętnastu oficerów oraz marynarzy z załogi „Endeavour” witano tu ogromnie serdecznie. Odnaleźli stare przyjaźnie i w takim tempie nawiązali nowe, że Forster, pisząc o pierwszej nocy w Matavai, narzekał gorzko: „Nasi marynarze zaprosili o zachodzie słońca na pokład masę kobiet najniższej kategorii”.

Cook kazał rozbić namioty w miejscu, gdzie poprzednio znajdował się Fort Wenus. Zniesiono tam i leczono chorych z „Adventure”. Dowódca sam pilnował, żeby ich dieta zawierała tyle owoców i warzyw, ile tylko mogli zjeść. Kuracja odniosła błyskawiczny skutek: w ciągu miesiąca Cook stwierdził, że załoga „Adventure” jest znowu w pełni sprawna. Ponieważ przyplłynął na Tahiti tylko po to, żeby wyleczyć swoich ludzi, nie miał zamiaru niepotrzebnie przedłużać pobytu tutaj.

Chciał także ruszać w drogę z dwóch ważnych powodów. Tak jak w Vaitepiha, w Matavai także nie było świeżego mięsa. Z licznych stad dzikich świń pozostało bardzo niewiele. Dowiedział się jednak, że na Huahine i Raiatea, dwóch wyspach, które odwiedził w czasie poprzedniej podróży, mięsa jest w bród. Po drugie, Cook zaczął się spieszyć. Chciał odnaleźć grupę wysp odkrytych w połowie poprzedniego wieku przez Tasmana, który nazwał je Amsterdam, Rotterdam i Middleburg — i wrócić następnie do Queen Charlotte Sound, żeby w listopadzie móc wyruszyć na badania obszarów w rejonie wysokich szerokości geograficznych.

„Resolution” i „Adventure” wypłynęły na początku września, oba świetnie zaopatrzone w wodę, drewno i maksymalną ilość owoców i jarzyn. Na ich pokładach znajdowało się dwóch młodych ludzi, których Cook zdecydował się zabrać ze sobą jako tłumaczy: Odiddy z wyspy Bora Bora na „Resolution” i Omai z Raiatei na „Adventure”. Po raz wtóry Cook zauważył, jaka radość towarzyszyła ich przybyciu na Tahiti i jaki smutek ogarnął wszystkich, gdy opuszczali wyspę. Podobnie jak poprzednio, Tahitańczycy ze łzami błagali Anglików, żeby nie odpływali; jak poprzednio zatoka pełna była łodzi, w których tubylcy żegnali ich z rozpaczą.

Po opuszczeniu Tahiti najpierw zatrzymali się na Huahine, wyspie, którą Cook odkrył trzy lata wcześniej. Tu także witano ich równie gorąco jak poprzednio. Co jeszcze ważniejsze, udało im się tutaj zakupić trzysta świń i rozwiązać na jakiś czas problem świeżego mięsa i solonej wieprzowiny. W następne zapasy zaopatrzyli się na Raiatei. Kiedy więc opuszczali już Society Isles, statki były lepiej zaopatrzone niż wtedy, gdy opuszczali Anglię.

Cook wytyczył kurs na południowy zachód. 24 września zauważyli dwie wysepki, których Cook nie uznał za godne zbadania. Nazwał je wyspami Hervey i popłynął dalej. (Wyspy te są częścią większej grupy znanej obecnie jako Wyspy Cooka). 1 października dopłynęli do pierwszej z trzech wysp odkrytych przez Tasmana, Middleburg — nazwa ta zmieniona później została na pierwotną — Eua — i taka pozostała do dziś.

Cook i jego ludzie byli pierwszymi białymi, jakich zobaczyli mieszkańcy Eua, odnosili się jednak do nich tak serdecznie, że mogło się wydawać, iż są oni ich dawno zaginionymi krewnymi. Dobroć mieszkańców Eua, ich gościnność i gotowość do zawierania przyjaźni były po prostu niewiarygodne. Nawet Tahitańczycy nie przyjmowali Anglików tak radośnie, jak tutejsi ludzie. Wydawali na cześć kapitana i jego załogi przyjęcia i oprowadzali ich po wyspie. Cook zanotował w swoim dzienniku, że ludzie z Eua osiągnęli znacznie wyższy stopień cywilizacji niż jakiegokolwiek inne plemię zamieszkujące wyspy Pacyfiku. Byli, jak napisał jeden z członków załogi, pięknymi, cudownymi ludźmi mieszkającymi na bajecznej wyspie. Uprawiali intensywnie ziemię, a tereny rolnicze podzielili miedzami na działki. Ich domy były najczystszyimi i najlepiej utrzymanymi siedzibami, jakie Cook widział na Pacyfiku.

Mieszkańcy Eua byli czysti, zdrowi, szczęśliwi, ciężko pracowali, i byli hojni aż do przesady. Cook pisał, że chętniej dawali, niż przyjmowali dary, czego nie mógł powiedzieć o mieszkańcach innych wysp. Astronom Wales zanotował, że byli najbardziej pełnymi życia, roześmianymi ludźmi, jakich kiedykolwiek spotkał. Cook zauważył nawet ze zdumieniem, że nie tylko mężczyźni i kobiety jadali tu razem, co było zabronione na Tahiti, ale nawet mężczyźni dbali o to, żeby najpierw nakładać jedzenie kobietom.

Z Eua popłynęli na dużo większą wyspę. Tasman zszedł tu na ląd i nazwał ją Amsterdam; obecnie wyspa powróciła do swojej oryginalnej nazwy — Tongatabu. Witano tu Cooka tak samo gorąco jak na Eua. Dokonali na Tongatabu nadzwyczaj korzystnych transakcji handlowych. Na tej wyspie, podobnie jak na poprzedniej, Cook nigdy nie widział uzbrojonych ludzi, chociaż Sparman, człowiek o charakterze bardzo zbliżonym do Forstera, chciał wiedzieć, dlaczego ci tak bardzo pokojowo nastawieni ludzie potrzebowali aż tylu kijów, służących najwyraźniej do niekoniecznie pokojowych celów. Sparmanowi nie przyszło widać do głowy, że kije te używane były do obrony przed najeźdźcami z innych wysp. Przecież mieszkańcy Eua i Tongatabu ze swym rozwiniętym rolnictwem byli stosunkowo zamożnymi ludźmi i na pewno uboższym plemionom z sąsiednich wysp wydawali się bardzo kuszącym celem najazdu.

Kiedy statki odpływały z Tongatabu 8 października, ich ładownie zapchane były owocami i jarzynami, trzystoma sztukami żywego drobiu, około stu pięćdziesięcioma żywymi świniami. Najprawdopodobniej dźwięki dochodzące z „Resolution” i „Adventure” musiały jako żywo przywołać na myśl pływającą farmę.

Po wspaniałym przyjęciu, jakie ich na obu wyspach spotkało, Cook nazwał je Friendly Islands (Wyspami Przyjaznymi). Choć dziś często używa się tej nazwy, są one jednak lepiej znane pod oficjalną nazwą — Wyspy Tonga.

Dwa tygodnie później statki znalazły się niedaleko Hawke's Bay (Zatoki Hawke'a) na wschodnim wybrzeżu Północnej Wyspy Nowej Zelandii. Miotły tu nimi ostre południowe i południowo—zachodnie wiatry; ta pogoda uniemożliwiła im przedarcie się ku Cieśninie Cooka. W końcu wichry przeszły w tak gwałtowny sztorm, że „Adventure”, mniej stabilny niż

„Resolution”, wywiało daleko w morze. Cook utracił kontakt z „Adventure” w nocy 29 października. Zdołał z trudem przepłynąć dookoła Cape Palliser, południowo-wschodniego czubka North Island i znalazł się u wejścia do Cieśniny Cooka. Właśnie wtedy wiatr zmienił się na północno—zachodni i całkowicie uniemożliwił im wpłynięcie do cieśniny. „Resolution” wywiało tak daleko na południowy wschód, a potem na południe wzdłuż wschodniego wybrzeża South Island, że Cook zaczął poważnie się zastanawiać nad poszukianiem portu właśnie tam. Niestety musiał wracać do Queen Charlotte Sound, gdyż tam umówił się na spotkanie z Furneaux. Szedł więc na północ pod zmienny wiatr, aż znalazł wreszcie schronienie w Cieśninie Cooka tuż za Palliser Bay na południowym krańcu North Island. Szukając portu, natknął się na wspaniały zakątek — Port Nicholson — gdzie znajduje się obecnie stolica Nowej Zelandii, Wellington. Gdyby kiedykolwiek dowiedział się, że w maju trzy lata wcześniej przepłynął obok Portu Sydney, z pewnością odkrycie Port Nicholson byłoby dla niego pewną pociechą.

Wiatry trochę się uspokoiły i następnego dnia „Resolution” wpłynął do Queen Charlotte Sound. „Adventure” jeszcze tu nie było, Cook spodziewał się zresztą Furneaux dopiero za jakiś czas. „Resolution” czekał tam około trzech tygodni. Podczas tego okresu dowiedzieli się o interesującym acz wyjątkowo nieprzyjemnym fakcie: mieszkający tam Maorysi, z którymi Cook i jego ludzie pozostawali w dobrych stosunkach, byli niewątpliwie kanibalami. Pewnego dnia część mężczyzn powróciła z wyprawy wojennej w niedalekiej Admiralty Bay (Zatoce Admiralicji); przynieśli ze sobą ciało wroga i przystąpili do przyrządzania i spożywania posiłku. Jedli z ogromnym smakiem, a działo się to na oczach przerażonych obserwatorów z „Resolution”.

Pod koniec trzech tygodni Cook zdecydował, że nie mogą już dłużej czekać: żeby spenetrować wody polarne musiał wyruszyć teraz, w samym środku lata, albo wcale. Gdyby jeszcze czekał, byłoby już za późno. Pozostawił więc list w butelce dla Furneaux, w którym pisał, że po powrocie z obszarów polarnych uda się prawdopodobnie na Wyspę Wielkanocną, a później na Tahiti. Podjęcie decyzji pozostawił Furneaux — mógł wracać do Anglii lub próbować dołączyć do Cooka gdzieś na Pacyfiku. Biorąc pod uwagę niezmierny obszar tego oceanu i brak jakiegokolwiek propozycji daty spotkania, była to doprawdy propozycja pełna optymizmu.

Furneaux nie pojawia się już w historii wyprawy Cooka, wypada więc wspomnieć w tym miejscu, co mu się przydarzyło. Po tym, jak odłączył się od „Resolution” w czasie sztormu, wiatry wypchnęły go daleko w morze, na północ i na wschód. Parę dni zajął mu powrót pod wiatr na wschodnie wybrzeże North Island. Wpłynął wtedy do Tolaga Bay, pierwszego portu, gdzie Cook zarzucił kotwicę w swojej pierwszej podróży. Odnowił zapasy drewna i wody, a następnie popłynął na południe na spotkanie z Cookiem. Niestety, przeciwnie wiatry nie pozwoliły mu wejść do Cieśniny Cooka aż do 30 listopada. Cook opuścił Queen Charlotte Sound 25 listopada — minęli się więc tylko o kilka dni.

Furneaux zarzucił kotwicę w Queen Charlotte Sound i następne dwa tygodnie poświęcił na naprawy „Adventure”. 16 grudnia wysłał na brzeg szalupę z dwoma oficerami i ośmioma marynarzami, żeby rozejrzeli się za jakimiś warzywami i owocami. Kiedy nie wrócili na statek, następnego dnia wysłał za nimi grupę poszukiwawczą. Tego samego dnia odkryto, że ludzie ci zostali zabici i zjedzeni przez Maorysów.

Nic dziwnego, że po tym. epizodzie Furneaux zdecydował się wracać do Anglii. Bardzo szybko dotarł do przylądka Horn — zajęło mu to zaledwie miesiąc — i zatrzymał się w Cape Town przed ostatnim etapem podróży.

Cook po opuszczeniu Queen Charlotte Sound płynął na południe przez około dziesięć dni, po czym zmienił kurs na południowy wschód: po tygodniu napotkał już pierwsze góry lodowe, a po trzech dniach widać je już było wszędzie aż po horyzont. Temperatura spadła poniżej zera, a

sposoby ogrzewania na „Resolution” były tak prymitywne, że pod pokładem było prawie równie zimno, jak na zewnątrz. Szczególnie narzekał na warunki starszy Forster; jego kabina znajdowała się tuż za głównym masztem i najwyraźniej polarny wiatr i fale szalały tam bez żadnych ograniczeń. Na usprawiedliwienie Forstera trzeba jednak powiedzieć, że cierpiał na ostry reumatyzm. Uspokoił się dopiero, gdy weszli w mglistą pogodę; ponieważ mgła w połączeniu z otaczającymi statek górami lodowymi stwarzała bardzo niebezpieczną sytuację, Cook, obawiając się katastrofy, zmienił kurs na północny.

Forster nie cieszył się jednak długo; wkrótce pogoda poprawiła się, a kapitan znów skierował statek na południe. 21 grudnia „Resolution” przeciął Koło Podbiegunowe. Cook zrobił to już po raz drugi — był pierwszym człowiekiem, któremu się to udało. W dzień Bożego Narodzenia płynęli dalej na południe. Starszy Forster, w zapiskach z tego dnia nie wiedział, czy ma bardziej narzekać z powodu swojego reumatyzmu i rozciągających się jak okiem sięgnąć skutych lodem pustkowi Antarktyki, które nieżycziwie porównywał do piekła, czy też z powodu wrzasków, hałasów, przekleństw: te ostatnie też otaczały go zewsząd, jako że załoga „Resolution” obchodziła święta w tradycyjny marynarski sposób.

Nawet Cook miał dosyć Koła Podbiegunowego. Napisał. „Pokryte lodem lmy były twarde jak druty, żagle jak kawałki blachy, a wyciągi tak zamrzły, że trzeba było używać ogromnej siły, żeby rozpiąć lub ściągnąć żagle. W tym dotkliwym zimnie trudno wytrzymać, całe prawie morze skute jest lodem, wieje ostry wiatr i otacza nas gęsta mgła. W tych niekorzystnych warunkach — pisze Cook, posługując się doprawdy cudownym eufemizmem — wydaje się dosyć naturalne, że pomyślałem o zawróceniu na północ”. Zawrócił więc i na pewno nie zrobił tego zbyt wcześnie, bo George Forster, syn narzekającego przyrodnika, zapisał, że zdrowie i morale członków wyprawy bardzo podupadły. Jego ojciec i co najmniej dwunastu innych ludzi ledwo mogło się ruszać z powodu ostrego reumatyzmu, chociaż ta bolesna dolegliwość najwyraźniej nie dotknęła rąk starszego Forstera — codziennie przelewał swoje żale na karty dziennika. Aż dziwne, że więcej osób nie zaczęło chorować na reumatyzm — cały statek dosłownie ociekał wilgocią od wewnątrz i na zewnątrz. Jak pisał dalej młody Forster, wszyscy wyglądali na chorych i zachowywali się apatycznie; nawet Cook był błydy, wychudzony i zupełnie stracił apetyt.

Płynęli więc na północ przez czternaście dni. Przez ten czas załoga doszła do siebie; gdy więc tylko Cook upewnił się, że wszyscy mają się już lepiej, ku pełnemu przerażenia zdumieniu starszego Forstera ponownie skierował statek na południe. Kiedy Cook stawiał sobie jakieś zadanie, nie poddawał się łatwo. Tak było i tym razem: miał zamiar odnaleźć południowy kontynent, jeśli istniał on gdziekolwiek w tych stronach. Nie powiedział swoim oficerom i marynarzom, dokąd zmierzają z tego prostego powodu, że sam nie wiedział. Forster napisał w rozpacz. „Nic nie może być gorsze od zupełnej niepewności co do celu podróży. Bez żadnego wyraźnego powodu jest on utrzymywany w tajemnicy przed wszystkimi na pokładzie”.

Po raz trzeci, przez góry i pola lodowe Cook poprowadził „Resolution” — z pewnością nigdy nie nazwano statku bardziej trafnie — do Koła Podbiegunowego i po raz trzeci je przeciął. Szalona odwaga Cooka musiała świetnie pasować do polarnych krajobrazów. Nawet dziś niewielu kapitanów, na potężnych i zwrotnych stalowych statkach, zdecydowałoby się powtórzyć wyczyn Cooka. A przecież dokonał tego na ciężkim do manewrowania węglowcu, dawno temu, w styczniu 1774 roku, zdany na łaskę wiatrów i prądów, otoczony potężnymi górami lodowymi, z zamarzającymi żaglami i linami, którymi prawie w ogóle nie dawało się poruszać. Ale zrobił to i nie zatrzymał się po przekroczeniu Koła Podbiegunowego.

Płynął na południe jeszcze przez cztery dni i stanął dopiero 30 stycznia 1774 roku. Zrobił to, ponieważ natknęli się na ciągnące się aż po horyzont pole lodowe. Było to na siedemdziesiątym pierwszym stopniu dziesiątej minucie szerokości geograficznej południowej i sto szóstym stopniu

trzydziestej czwartej minucie długości zachodniej. Był to najdalej na południe wysunięty punkt, do którego dotarł Cook. Nikt przed nim nie dotarł tak daleko; warto też zaznaczyć, że aż do czasów obecnych, w dwieście lat później, żaden statek nie dopłynął aż tak daleko.

W swoim dzienniku Cook daje wyraźnie do zrozumienia, że nie żałował, iż decyzja, czy płynąć dalej, została wyjęta z jego rąk. To właśnie zdanie, najczęściej cytowane ze wszystkich jego stwierdzeń, pozwala nam ujrzeć choć cząstkę charakteru człowieka, który dokonał niezrównanych odkryć: „Ja, którego mam nadzieję, że ambicja zaprowadzi nie tylko dalej niż kiedykolwiek zaszedł człowiek, ale tak daleko jak człowiek może w ogóle dojść, nie żałowałem napotkania warunków, które zmusiły mnie do przerwania podróży na południe”.

Można powiedzieć, że miał ogromnego pecha — nie odkrył Antarktyki, nie uhonorował swojej niezrównanej kariery tym wspaniałym odkryciem. Od wybrzeża Antarktyki dzieliło go tylko około dwustu mil. Nigdy nie wspomniano jednak o tym, że punkt, z którego zawracał, znajdował się dużo dalej na południe (czasem o ponad trzysta mil) niż mniej więcej połowa linii brzegowej Antarktyki. Pomiedzy sto siedemdziesiątym stopniem wschodniej długości geograficznej, która przebiega przez South Island, a dziesiątym stopniem zachodniej długości geograficznej, przebiegającej mniej więcej w połowie odległości między Cape Town a wschodnim wybrzeżem Ameryki Południowej, półkole linii brzegowej Antarktyki w wysokich szerokościach geograficznych Indyjskiego Oceanu i Atlantyku leży pomiędzy Kołem Podbiegunowym i siedemdziesiątym stopniem szerokości południowej. Należy pamiętać, że Cook przekroczył siedemdziesiąty pierwszy stopień południowej szerokości geograficznej. Gdyby próbował płynąć dalej w obszarze opisanym wyżej i nie utknął w polu lodowym, z całą pewnością dotarłby do wybrzeża Antarktyki. Cook żeglował jednak w obszarze wysokich szerokości geograficznych Pacyfiku, gdzie linia brzegowa Antarktyki cofnięta jest bardzo daleko na południe, miejscami co najmniej siedemset mil dalej na południe niż na Atlantyku. Nieważne jednak czy odkrył Antarktykę, czy nie: tak czy inaczej jego styczniowa wyprawa 1774 roku w dalszym ciągu jest jedną z najbardziej nieprawdopodobnych podróży.

Tak więc, dowiódłszy ponad wszelką wątpliwość, że sławny kontynent Dalrymple’a nie istniał nigdzie na Pacyfiku czy Oceanie Indyjskim — można było jeszcze jedynie przypuszczać, że znacznie mniejszy kontynent jest gdzieś na wysokich szerokościach geograficznych południowego Atlantyku — Cook, ku nieopisanej uldze starszego Forstera, zawrócił „Resolution” na północ.

Teraz Cook zaczął zadawać sobie pytanie, co robić dalej. Na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim dokonał już wszystkiego, co zamierzał; miał więc pełne prawo powrócić do domu. Do przylądka Horn nie było tak znowu daleko i za kilka tygodni mógł już być na Atlantyku. Lub też, gdyby tak sobie życzył, mógł spędzić zimę w Cape Town i następnego lata znowu wyruszyć na wody polarne. Nie odpowiadała mu żadna z tych możliwości. Kiedy bakcyl odkrywczej gorączki raz zaatakuje, stan pacjenta pogarsza się bez przerwy; w 1774 roku Cook był już nieuleczalnym przypadkiem. Południowy Pacyfik, z wyjątkiem kilku wysp, był jeszcze wielką niewiadomą. W tej sytuacji rozwiązanie nasuwało się samo.

Cook zwołał oficerów i marynarzy, jeśli bowiem miał przedłużyć ich podróż o następny rok, mógł dać im przynajmniej szansę zabrania głosu, i przedstawił im swoje propozycje. Powiedział, że ma zamiar zlokalizować pewien ląd, prawdopodobnie odkryty przez Juana Fernandesa na wschodnim Pacyfiku, a potem popłynąć na Wyspę Wielkanocną. (Nie wierzył zbyt, że uda mu się odnaleźć którekolwiek. O istnieniu i lokalizacji pierwszego informował ni mniej ni więcej tylko sam Aleksander Dalrymple, a Cook z trudem mógł się teraz zdobyć na choćby minimalne zaufanie do autora informacji. Co do Wyspy Wielkanocnej nie było wprawdzie żadnych takich wątpliwości, istniała ona z pewnością, ale, jak powiedział Cook, jej usytuowanie „było już tak

różnie zaznaczane, że mam niewielką nadzieję na jej odnalezienie”). Z Wyspy Wielkanocnej planował przebyć Pacyfik na zachód, prawie aż do wybrzeży Australii, trasą, jaką nie płynął jeszcze żaden odkrywca. Później mieli pożeglować do Nowej Zelandii, przeciąć powtórnie Pacyfik, na początku listopada dotrzeć do przylądka Horn, a następnie spędzić lato penetrując wysokie szerokości geograficzne południowego Atlantyku i wreszcie wyruszyć do Anglii przez Cape Town. Być może nie brzmi to imponująco, w rzeczywistości była to jednak monumentalna podróż, która musiała zająć około osiemnastu miesięcy.

Nikt nie protestował; wszyscy najwyraźniej byli zachwyceni tym pomysłem. Dosyć trudno wytłumaczyć tę postawę; wtedy, tak jak i teraz, najmilszym widokiem dla przeciętnego marynarza był przecież trap prowadzący ze statku na ląd; może ogarnęła ich taka ulga, że udało im się uciec z lodowatych objęć Antarktyki, że chętnie i z radością zgodziliby się na wszystko. Bardziej prawdopodobne, że wielu z nich także dopadła gorączka odkrywcy. Najbardziej prawdopodobne, że zdawali już sobie sprawę, iż są elitą, że dokonują rzeczy, jakich nikt jeszcze nie dokonał, że tworzą historię. A wiedzieli przecież dobrze, że to wszystko mogło im się przydarzyć, bo ich uwielbianym kapitanem był właśnie Cook i to on był sprawcą wszystkich tych osiągnięć. Trudno znaleźć słowa, jakimi można by określić wpływ wywierany przez osobowość Cooka na załogę, ale z pewnością mieszczą się one gdzieś między słowami „wielki” a „niewyobrażalny”. Poza tym oczywiście obecność na pokładzie „Resolution” pozwalała im osiągnąć najwyższe uznanie: kiedy młodzi ludzie z „Resolution” w pięćdziesiąt lat później wspominali gdziekolwiek, że „pływali z kapitanem Cookiem”, traktowani byli inaczej niż wszyscy — byli specjalną grupą najwyższej klasy żeglarzy.

Nikogo specjalnie nie zdziwił fakt, że ląd Juana Fernandeza się nie zmaterializował. Cook nie wątpił, że skoro Dalrymple autorytatywnie twierdził, że powinien się on znajdować właśnie tam i dokładnie tam, to była to oczywista gwarancja, że takiego lądu nie ma. 23 lutego Cook doszedł ostatecznie do tego właśnie wniosku i nakazał płynąć w kierunku, gdzie najprawdopodobniej znajdowała się Wyspa Wielkanocna.

Właśnie wtedy Cook bardzo poważnie zachorował. Miał za sobą ogromny fizyczny i psychiczny stres, tygodnie spędzone na otwartym pokładzie na wodach polarnych i miesiące niezdrowej diety. Teraz nie mógł się podnieść z koi, nie mógł też pić, jeść ani przyjmować lekarstw. Jego stan pogarszał się bardzo szybko aż do krytycznego. Nie ma wątpliwości, że tylko stała i pełna poświęcenia opieka lekarza okrętowego, Pattena, uratowała mu życie.

Cook wrócił już na mostek, choć ciągle jeszcze nie był zupełnie zdrowy, kiedy 12 marca spostrzeżono Wyspę Wielkanocną. „Resolution” popłynął wzdłuż brzegu, szukając portu. Cała załoga wpatrywała się w oszołomieniu w olbrzymie kamienne statuy, którymi usiana była wyspa. Niektóre z nich stały na zboczach wzgórz, inne na potężnych kamiennych platformach. Kiedy Cook wysłał ludzi na brzeg, okazało się, że jeszcze więcej figur, częściowo porośniętych trawą, leży na ziemi. Tubylcy, którzy okazali się całkiem przyjaźni, nie mieli pojęcia, kto ani kiedy je postawił. Cook uważał, że Polinezyjczycy nie byliby w stanie wyrzeźbić i wznieść tych gigantycznych rzeźb i że musiały one być dziełem wcześniejszej i o wiele bardziej zaawansowanej cywilizacji, która przestała istnieć lub zniknęła z powierzchni ziemi. Ta teoria jest bardzo prawdopodobna. Pozostaje jednak faktem, że pochodzenie słynnych kamiennych bogów z Wyspy Wielkanocnej jest dalej okryte tajemnicą.

Jako źródło świeżych zapasów wyspa zawiodła kompletnie. Nie mogli tu nawet zaopatrzyć się w wodę. Cook zdecydował się popłynąć na Markizy, które ponad dwieście lat wcześniej odkryli Hiszpanie. Chciał ustalić ich położenie, które zostało określone dosyć mgliście i miał nadzieję znaleźć świeże zapasy. W drodze na Markizy znowu zachorował i tak jak poprzednio stracono już prawie nadzieję, że przeżyje. Na szczęście i tym razem doszedł do siebie dzięki opiece

wiernego Patten. 7 kwietnia znaleziono Markizy, cztery wysoko wznoszące się wyspy o ostrych brzegach. „Resolution” zarzucił kotwicę w Vaitahu Bay na wyspie Tahuata następnego dnia.

Mieszkańcy wysp okazali się bardzo przyjaźni. Choć nie udało się dostać świeżego mięsa, załoga „Resolution” zaopatrzyła się w duże ilości owoców i warzyw. Anglików zdumiał wygląd tubylców — byli smukli, o pełnych wdzięku i gracji ruchach i skórze tak jasnej, że można by ich z łatwością wziąć za Europejczyków. Zdaniem wszystkich członków załogi mieszkańcy Markizów byli najpiękniejszą rasą ludzi, jaką kiedykolwiek widzieli nie tylko na Pacyfiku, lecz na świecie.

Cook zmierzał teraz do miejsca, które stało się jego drugim domem — Tahiti. W czasie dziesięciodniowej podróży przepłynęli przez Archipelag Tuamotu, szeroko rozrzuconą grupę atoli koralowych. Cook próbował wylądować na jednej z wysepek, ale tubylcy dali jasno do zrozumienia, że nie życzą sobie wizyty Anglików. „Resolution” popłynął więc dalej. 22 kwietnia zarzucili kotwicę w Matavai Bay.

Powitano ich jak zwykle gorąco. Kiedy Cook był tu ostatnim razem, na wyspie nie było prawie żadnych świń, teraz jednak znowu się rozmnożyły. Zakupiono ich tyle, że musiano wybudować na brzegu chlew. Zaczynało powoli brakować towarów na handel wymienny, ale niespodziewanie Cook odkrył znakomity środek płatniczy w postaci piór, które załoga zebrała na Wyspach Przyjaznych poprzedniej jesieni. Do tej pory Cook nie zdawał sobie sprawy, że czerwony jest świętym kolorem przypisanym tahitańskiemu bogowi Oro — czerwone pióra były najwyraźniej niedostępne na wyspie, a Tahitańczycy uważali je za konieczne do odprawiania pewnych ceremonii religijnych.

Podczas pobytu na wyspie, Cook oraz kilku oficerów i naukowców mogło być świadkami niezwykłego widowiska w sąsiedniej zatoce (obecnie znajduje się tam stolica — Papeete). Tahitańczycy przygotowywali się do odparcia najazdu plemienia z sąsiadującej z nimi wyspy Moorea, którego wódz zbuntował się przeciwko mieszkańcom Tahiti.

Cook i jego ludzie zostali więc uhonorowani możliwością obejrzenia próby generalnej. Cała zatoka wypełniona była flotą wojennych canoe o podwójnych kadłubach; niektóre z nich dorównywały długością „Resolution”. Te potężne łodzie wyposażone były w dodatkowy pokład, na którym stali uzbrojeni w dzidy, kije i kamienie wojowniczy. (Zdumiewające, że właśnie na polinezyjskim Pacyfiku, jak nigdzie indziej na świecie, kamienie były najbardziej preferowaną bronią ofensywną). Razem z wioślarzami, którzy także mieli w krytycznym momencie włączyć się do walki, na każdej łodzi znajdowało się ponad czterdziestu wojowników. Cook naliczył sto sześćdziesiąt dziewięć wielkich canoe oraz tyle samo mniejszych, które, jak sądził, miały zajmować się transportem.

Byli tacy, którzy twierdzili, że niektóre bojowe canoe mogły pomieścić blisko dwustu wojowników i wioślarzy; jest to zupełnie prawdopodobne. Tak czy inaczej widok setek canoe i tysięcy wojowników w szyku bojowym musiał naprawdę robić ogromne wrażenie.

Cook rozważnie nie czekał na podjęcie działań wojennych. Tym razem rozstanie z Tahiti było wyjątkowo bolesne, gdyż powiedział tubylcom, że nigdy nie powróci już na wyspę. Nie wiedział, że wróci po ponad trzech latach.

Z Tahiti udali się na Huahua i Raiatea (Society Group), wyspy, które znali już prawie równie dobrze jak Tahiti. Tam zaopatrzyli się w zapasy i tam też zostawili zrozpaczonego rozstaniem Odiddy w jego ojczyźnie. Stamtąd popłynęli na zachód ku Wyspom Przyjaznym. Minęli je, a Cook nadał nazwę Palmerston Island atolowi koralowemu w Cook Group. Kilka dni później dotarli do o wiele większej wyspy, gdzie na ich widok powietrze aż furczało od dzid i kamieni. Nie próbowali więc nawet lądować. Cook nazwał wyspę Savage Island (Dzika Wyspa); trudno byłoby wymyślić lepszą nazwę, bo sam kapitan zostałby przeszyty dzidą, gdyby przytomnie się

nie uchylił.

Potomkowie tych mało gościnnych wyspiarzy utrzymują, że ich pradziadowie byli wielokrotnie napadani i mordowani, a mieszkańcy Niue (oryginalna nazwa, której w tej chwili się używa) są bardzo przyjacielscy.

Popłynęli więc ku Wyspom Przyjaznym, które wydawały się tak samo fascynować Cooka jak Tahiti. Kiedy powrócił na te wody trzy lata później, spędził pełne trzy miesiące pływając od wyspy do wyspy; najwyraźniej bardzo nie chciał stąd wyjechać. Tym razem jednak nie zwlekał. Był już prawie koniec czerwca, Cook chciał w listopadzie opłynąć przylądek Horn, a jeszcze wcześniej zbadać, czy istnieją wyspy, o których usytuowaniu w połowie drogi między Wyspami Przyjaznymi a wybrzeżem Australii pisali zarówno Quiros, jak i Bougainville.

Z Wysp Przyjaznych (Tonga) Cook skierował więc „Resolution” na zachód, w drodze lekko zbaczając na północ. O mały włos ominął Wyspy Fidzi — znajdowały się one jeszcze trochę bardziej na północ od kursu „Resolution”. Pierwszą z Wielkich Cyklad, jak nazwał je Bougainville, spostrzegli 17 lipca. Była to wyspa Maewo. Od tej chwili płynęli przez labirynt wysp — było ich w Wielkich Cykladach około osiemdziesięciu, rozciągających się w obszarze prawie pięciuset mil. Cook miał więc masę map do kreślenia.

Odkryli, że na Wielkich Cykladach spotkały się dwie rasy i dwie kultury — Polinezyjczycy i ciemniejsi, bardziej negroidalni Melanezyjczycy. Charakter tych ostatnich także zdecydowanie się różnił: okazywali wyraźną wrogość wobec obcych. Kiedy Cook wylądował na dwóch wyspach zamieszkałych w większości przez Melanezyjczyków, Malekula i Erromanga, tubylcy powitali go z zimną wrogością. Na Erromanga próbowali zabrać szalupy „Resolution”; użyli kamieni, dzid i strzał, a Anglicy musieli sięgnąć po muszkiety, żeby ująć z życiem. Zginęło kilku tubylców. Wielu Melanezyjczyków było rannych. Anglicy zabrali na pokład „Resolution” dwóch rannych marynarzy.

Charakterystyczne, że za ten incydent Cook obwinił siebie, lub może raczej swoją rasę. Pisał ze smutkiem: „Wchodzimy do ich portów i próbujemy zejść na ląd w pokojowy sposób. Jeśli nam się udaje, to wszystko w porządku, jeśli natomiast nie, to i tak lądujemy przy użyciu broni. Jakże więc mogą traktować nas na początku inaczej jak najeźdźców?”. To powracający temat w dziennikach Cooka. W przeciwieństwie do większości swoich rodaków i Europejczyków był głęboko wrażliwy i świadomy faktu, że pierwotni mieszkańcy odkrytych terenów są zmuszeni do przyjęcia białego człowieka. Wiedział też, że tubylcy byli absolutnie szczęśliwi przed pojawieniem się białych; biała rasa siłą odbierała to, co należało do prawowitych właścicieli. W przyszłości przybycie białych mogło przynieść jedynie rozpacz i zniszczenie tym prostym i szczęśliwym ludom Pacyfiku — ta myśl wydaje się prześladować Cooka. Paradoksalne, że jeśli chodzi o tempo anektowania nowych terytoriów dla Korony, żaden inny odkrywca nie może wytrzymać porównania z Cookiem. Ale w rzeczywistości nie był to paradoks, tylko odwieczna walka między obowiązkiem a sumieniem. Polinezyjczycy zamieszkujący Wielkie Cyklady zgotowali Cookowi zupełnie inne przyjęcie. Załódze brakowało już wody i drewna, więc Cook spróbował szczęścia na najdalej wysuniętej na południe dużej wyspie, Tanna. Znajdował się tu czynny wulkan Ludzie zamieszkujący wyspę byli Polinezyjczykami i choć pierwsze spotkanie przebiegło w raczej chłodnej atmosferze, wkrótce pomiędzy tubylcami a białymi nawiązała się bliska przyjaźń. Nie przeszkodził temu nawet fakt postrzelenia jednego z Polinezyjczyków przez wartownika bez żadnego wyraźnego powodu.

Mieszkańcy Tanna chętnie handlowali, więc Anglicy zaopatrzyli się w wystarczającą ilość świeżego mięsa — oczywiście nieuniknionej wieprzowiny. Kiedy opuszczali wyspę po jednym z najmiłszych pobytów na wyspach Pacyfiku — jeśli chodzi o przyjacielskość, Cook postawił tubylców Tanna w jednym rzędzie z Tahitańczykami i mieszkańcami Wysp Przyjaznych — Cook



zanotował dwa spostrzeżenia. Po pierwsze uznał Tanna za najbardziej żyzną wyspę Pacyfiku, przypisując tę cechę ziemi popiołom wulkanicznym, które co jakiś czas tu spadały, a po drugie doszedł do wniosku, że było to najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widział. W ustach tak zapalonego Tahitanczyka, jakim był Cook, to doprawdy ogromny komplement.

Skierowali się teraz na północ, bo Cook musiał jeszcze raz przepłynąć przez Wielkie Cyklady, żeby dokończyć prace nad mapami, a następnie skierowali się na południe, ku Nowej Zelandii. Zdaniem Cooka Bougainville, francuski odkrywca, prawie zupełnie nie poznał Cyklad, podczas gdy on sam odwiedził wszystkie duże i wiele mniejszych wysp. Zbadał też dokładnie ich położenie i wykreślił mapy, nie zapominając o nadaniu nazw. Uważał, że ma do nich bardziej uzasadnione prawo niż Bougainville, przechrzczył je więc na Nowe Hebrydy i zaanektował w imieniu Korony. Udało się — wyspy są w dalszym ciągu w większej części brytyjskie, a część z nich znajduje się pod francusko—brytyjską administracją. Płynęli na południe, aż 5 września ujrzeli przed sobą górzystą wyspę. Na północ znajdował się obszar bardzo niebezpiecznych raf i płycizn, więc Cook zdecydował, by płynąć wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy w poszukiwaniu portu, który w końcu znaleźli. Tubylcy — nie—Polmezyjczycy, nie znana Cookowi rasa — okazali się bardzo gościnni. „Resolution” pozostał tam przez tydzień. Łąd ten bardzo przypominał Cookowi Australię, a jego mieszkańcy, przyjaźni, skłonni do śmiechu ludzie, zajmowali się dosyć intensywną uprawą swojej ziemi.

Któregoś dnia Cook ze szczytu góry zauważył, że wyspa ma kształt grzbietu ogromnego wieloryba, a jej szerokość wynosi około trzydziestu pięciu mil. Kiedy odpływali, spostrzegł, że długość wyspy, rozciągniętej w kierunku północ—południe, musi mieć co najmniej dwieście pięćdziesiąt mil. Kapitan uważał, że z wyjątkiem Nowej Zelandii musi to być największa wyspa na Pacyfiku, i jak zwykle miał rację. Najwidoczniej nie podobała mu się jej pierwotna nazwa — Balade, bo zmienił ją na Nową Kaledonię.

10 października natknęli się na małą, nie zamieszkaną lecz żyzną wyspę, którą Cook nazwał Norfolk Island. Zatrzymał się tylko po to, żeby ją zaanektować i popłynął dalej do Queen Charlotte Sound. Przybyli tam 18 października.

Spędzili trzy tygodnie biorąc na pokład zapasy wody, drewna i doprowadzając statek do jak najlepszego stanu przed następnym długim etapem podróży — dookoła przylądka Horn, a następnie do Cape Town. Dopiero tam mogli uzupełnić zapasy. Ścinając drzewa zauważyli inne pieńki, które wyraźnie wskazywały na użycie piły. W ten sposób Cook dowiedział się, że w Queen Charlotte Sound był przed nimi inny statek. Nie było wiadomości, którą zostawił Furneaux, a z pomocą języka migowego i obrazków dowiedział się od Maorysów, kiedy mniej więcej wypłynął stąd „Adventure”.

Cook zauważył, że krajowcy zmienili się od jego ostatniej wizyty prawie przed rokiem. Wtedy byli przyjaźni i weseli — teraz zachowywali się nieśmiało, ostrożnie, na dystans. Dopiero gdy w Cape Town odebrał list pozostawiony dla niego przez Furneaux i informujący o epizodzie z kanibalami, zrozumiał, że Maorysi z Queen Charlotte Sound mieli wystarczające powody do obaw.

„Resolution” wypłynął 10 listopada, wziął kurs na południowy wschód, a kiedy był już około tysiąca mil na południe od punktu wyjścia, zmienił kierunek na wschodni. Bardzo szybko, gnani wiatrem zachodnim, dotarli do przylądka Horn, płynąc mniej więcej wzdłuż pięćdziesiątego piątego równoleżnika. Furneaux płynął przed Cookiem dokładnie tą samą trasą, nie trzeba już chyba mówić, że żaden z nich nie natknął się na najmniejszy ślad istnienia kontynentu Dalrymple’a.

Podróż do przylądka Horn minęła spokojnie. Cook napisał nawet, że była nudna. Święta Bożego Narodzenia spędzili w rejonie Ziemi Ognistej, badając i zbierając okazy przyrodnicze,

zaopatrując się w żywność i w wodę. 29 grudnia opłynęli przylądek Horn i wydostali się na Atlantyk.

Pozostało już tylko ostatnie zadanie przeciąć południowy Atlantyk w rejonie wysokich szerokości geograficznych Cook był przekonany, że próba zlokalizowania lądu — części Wielkiego Południowego Kontynentu — będzie nadaremna. Dalrymple i inni światli geografowie twierdzili, że tam był, jeśli o nich chodziło, to po prostu musiał tam być — narysowali już przecież nawet jego mapę.

Tak więc Cook ruszył w obszary lodów, ostrego zimna i gęstych mgieł. Odkrył Południową Georgię, ponurą, jałową i bezludną pustkę pokrytą lodem i śniegiem i całkowicie bezużyteczną. To jednak nie powstrzymało Cooka od zejścia na ląd i wcielenia go do Korony. Odkrył dalej grupę równie bezużytecznych wysp, które także zaanektował i nazwał South Sandwich Islands. Trochę dalej na południe odkrył, przyłączył i nazwał Southern Thule, kolejne pustkowie.

Szukał wszędzie, nigdzie jednak nie było śladu lądu Dalrymple'a, a tym bardziej Wielkiego Południowego Kontynentu. Nie znalazł go z zupełnie oczywistego dla niego powodu — po prostu ten kontynent nigdy nie istniał. Około dwóch tygodni szukał Cape Circumscion Bouveta, lecz nie odnalazł go. Następnie badał etapami trasę, którą pokonał, gdy ponad dwa lata temu przekroczył Koło Podbiegunowe.

Opłynął świat w rejonie tak wysokich szerokości geograficznych, że wcześniej uważano taką podróż za zupełnie niemożliwą; wbił też ostatni gwóźdź do trumny marzenia Dalrymple'a, dowodząc w sposób ostateczny, że nic takiego jak południowy kontynent nie istnieje. Dostał zadanie, lub, jeśli wolicie, sam je sobie wyznaczył, i wykonał je.

Mogli już wracać do domu, z tego choćby powodu, że na południowej półkuli nie pozostało nic do zbadania. Dotarli do Cape Town 21 marca. W Cape Town przebywali pięć tygodni, dokonując koniecznych napraw, głównie uszkodzonego steru. Tam też Cook dostał list Furneaux: dowiedział się wreszcie o tragedii, która wydarzyła się w Queen Charlotte Sound.

„Resolution” wracał do Anglii przez Wyspę Świętej Heleny, Ascension Island i Azory. Rzucił kotwicę w Spithead 30 czerwca 1775 roku, trzy lata i osiemnaście dni po wyruszeniu w największą do dziś dnia wyprawę badawczą w historii.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### PÓLNOCNO–ZACHODNI PASAŻ

Po tej drugiej podróży nie było już żadnych wątpliwości, podobnie zresztą jak po pierwszej, czyją zasługą jest to, czego w nich dokonano. Wszystkie oczy zwrócone były na Cooka, który zupełnie spokojnie przeżywał fakt obwołania go bohaterem narodowym. Został honorowym członkiem Royal Society, otrzymał Złoty Medal Copleya za pracę naukową o warunkach zdrowotnych na morzu (drastyczne środki, jakimi zmuszał załogę do przestrzegania diety zwalczającej szkorbut, zostały pominięte milczeniem). W ciągu całej tej niewiarygodnej podróży Cook stracił tylko jednego człowieka, i to nie przez szkorbut.

Był traktowany jak bliski przyjaciel przez lordów admirałów, przyjął go król, awansowano go na dowódcę kompanii i oddano mu dowództwo H.M.S. „Kent”, siedemdziesięcioczerodziałowy okręt. Mianowano go też kapitanem w Greenwich Hospital<sup>\*</sup>; w ten sposób Admiralicja sugerowała, że mimo młodego wieku — miał czterdzieści siedem lat — dokonał wszystkiego, co tylko było możliwe, żeby zasłużyć sobie na honorową, pełnopłatną emeryturę.

Sam Cook nie był tego taki pewien. Pisał do przyjaciela: „Los prowadzi mnie z jednej ostateczności w drugą. Kilka miesięcy temu cała południowa półkula była dla mnie zbyt mała, a teraz mam zrezygnować z czynnego życia — to zbyt duże ograniczenie dla mojego umysłu, Przysnaję, że to niezły dochód i dobrze zaplanowany odpoczynek. Jednak czas pokaże, czy będę mógł się do tego zmusić”.

Niepotrzebnie się martwił. Jego czas na odpoczynek jeszcze nie nadszedł; i nigdy nie miał nadejść. Planowano już trzecią wielką podróż, tym razem jednak nie na morza południowe. Podczas gdy Cook zajęty był opracowywaniem do publikacji dziennika z drugiej podróży (przeczytał już straszną wersję Hawkesortha swojego pierwszego dziennika i był absolutnie zdecydowany, żeby drugi przygotować samodzielnie), Admiralicja rozważała możliwość, użyteczność i mądrość zbadania słynnego północno–zachodniego pasażu, osiągnięcia, o którym ludzie śnili od prawie trzech wieków. Przypuszczano, że pomiędzy wodami Atlantyku i Pacyfiku istnieje pasaż wokół czubka Ameryki Północnej. Próbowali go znaleźć tacy wielcy żeglarze jak: Cabot, Frobisher, Hudson i Baffin. Pod koniec poprzedniego stulecia Baffin dotarł do siedemdziesiątego siódmego stopnia czterdziestej piątej minuty północnej szerokości geograficznej, prawie połowy drogi między Kołem Podbiegunowym a biegunem. Był to rekord jeszcze sto lat po Cooku. Lecz nawet Baffin nie odnalazł północno–zachodniego pasażu.

Lordowie admirałowie zdecydowali, że należy spróbować jeszcze raz. Tym razem jednak chcieli spróbować ataku z dwóch stron. Wiadomo było, że w 1742 roku Bering, Szwed w służbie marynarki rosyjskiej, ustalił istnienie cieśniny pomiędzy Azją a północno–zachodnim szczytem Ameryki Północnej (Alaska). Zdecydowano więc, że jedna ekspedycja będzie próbowała odnaleźć pasaż od strony Atlantyku, a druga ruszy od Pacyfiku. Wyprawą atlantycką miał dowodzić dobry przyjaciel Cooka, Richard Pickersgill, dowodzący fregatą „Lion”. Na Pacyfik miał wyruszyć „Resolution” i „Discovery” — jednak nie dawny „Discovery”, ale nowy statek, podobnie jak pierwszy węglowiec z Whitby, zakupiony przez Admiralicję po rekomendacji Cooka.

Lordowie admirałowie wciąż nie byli pewni, kto powinien dowodzić ekspedycją na Pacyfiku.

---

<sup>\*</sup> W czasach Cooka ośrodek marynarki, gdzie mogli zamieszkać emerytowani marynarze. Od 1873 roku College Marynarki Królewskiej szkolący oficerów.

Oczywistym kandydatem był naturalnie Cook, nie tylko najlepszy, ale i jedyny żeglarz, którego można by wysłać na tę wyprawę. Brali jednak pod uwagę gigantyczne osiągnięcia kapitana i fakt, że już zaproponowali mu, więcej niż w pełni, zasłużoną emeryturę. Obawiali się więc trochę wystąpić teraz z taką propozycją. Wpadli na chytry i podstępny, ich zdaniem, pomysł: zaprosili Cooka na wystawny obiad, w którym kapitanowi mieli towarzyszyć jedynie lord Sandwich — Pierwszy Lord Admirala, Palliser — Skarbnik Marynarki i Stephens — Sekretarz Admiralicji. W trakcie obiadu poprosili go o radę, kogo wysłać na Pacyfik. Nie trzeba chyba dodawać, że kiedy Cook odszedł od stołu, był już dowódcą ekspedycji.

Pierwszym oficerem wyprawy został John Gore, który opłynął już świat z Cookiem na „Endeavour” i z Wallisem na „Dolphin”, drugim — James King, żeglarz i utalentowany astronom, trzecim — John Williamson. Asystentem kapitana został William Bligh, człowiek, którego sława miała kiedyś prawie dorównać sławie Cooka.

„Discovery” prowadził kapitan James Clerke, bliski przyjaciel Cooka i jeden z najbardziej doświadczonych żeglarzy tych czasów. Opłynął on już świat trzykrotnie — raz z Byronem i dwa razy z Cookiem; teraz wyruszał w podobną podróż po raz czwarty. Miała to być także jego ostatnia wyprawa. Tak jak i Cook, miał zostać pogrzebany na wybrzeżu Pacyfiku. Pierwszym oficerem Clerke’a został James Burney, drugim John Rickman. Pomędzy jego midshipmenami był George Vancouver (płynął już poprzednio na „Resolution”), który miał potem, zostać znanym odkrywcą. Ponad dwudziestu członków wyprawy pływało już z Cookiem, niektórzy z nich dwa razy, na przykład Samuel Gibson (obecnie sierżant), którego Cook kazał wychłostać za dezercję i ucieczkę w góry z dziewczyną podczas ich pierwszego pobytu na Tahiti. Najwyraźniej nie chował do kapitana urazy. Miał też z nimi płynąć Omai, Tahitańczyk, którego Furneaux przywiózł do Anglii.

12 lipca 1776 roku, cztery lata (bez jednego dnia) od momentu wyruszenia w poprzednią podróż, kapitan Cook znowu wypłynął na Pacyfik. Pożeglował sam, bo nieszczęsny James Clerke z „Discovery” znalazł się w więzieniu za długi — zagwarantował wcześniej długi swego brata, kapitana Johna Clerke’a, który nie uregulował ich i uciekł za granicę. Jamesa Clerke’a zwolniono w końcu, i „Discovery” wypłynął 1 sierpnia. Nie był to jednak szczęśliwy początek podróży. W więzieniu Clerke najprawdopodobniej zaraził się gruźlicą, która miała go w końcu zabić.

W drodze do Cape Town „Resolution” zatrzymał się na Tenerifie; ładowali tam na pokład ogromne ilości wina i uzupełnili zapasy wody. Zabrali też karmę dla zwierząt, „Resolution” był bowiem prawdziwą pływającą farmą z bydłem, świniami, owcami i kozami. Wzięli także osobiste prezenty od króla dla ludów zamieszkujących wyspy Pacyfiku. Wracając do zwierząt, wydaje się, że przesadzili zabierając ze sobą świnie, od których aż się roiło na wyspach — było to mniej więcej tak potrzebne, jak wożenie węgla na Śląsk.

Do Cape Town dotarli 17 października. Kapitan natychmiast kazał zabezpieczyć i uszczelnić „Resolution”, który strasznie przeciekał, zwłaszcza od strony pokładu. Cook pisał, że żaden z marynarzy śpiących pod pokładem nie miał chyba okazji przespać się w suchym łóżku. Kiedy 10 listopada do Cape Town przybył „Discovery”, okazało się, że jest w równie złym stanie; zajęli się nim od razu okrętowi cieśle.

Cook kazał wypuścić zwierzyńiec na świeży wypas. Zginęło kilka owiec, ale natychmiast uzupełniono braki, zabierając brakującą liczbę zwierząt z Cape Town. Kapitan uważał najwyraźniej, że nie dosyć im jeszcze żywca, bo wziął na pokład króliki i cztery konie, które umieścił w kabinie Omai. Ten był widać absolutnie szczęśliwy, bo z radością zgodził się oddać swoją kabinę na stajnię. Cook, co rzadko mu się zdarzało, pisał pogodnie i z poczuciem humoru o swoim inwentarzu: „Brak nam jeszcze tylko kilku kobiet, aby »Resolution« mógł się stać prawdziwą arką”. W tym samym liście, jak gdyby tworząc epitafium dla samego siebie, napisał:

„nie zabraknie mi poświęcenia i determinacji, by osiągnąć wielki cel tej podróży”. Poświęcenia i osiągnięcia były naprawdę kamieniami węgielnymi życia Cooka.

Dwa statki płynęły dalej razem. 13 grudnia Cook zlokalizował grupę wysp i nazwał je Wyspami Księcia Edwarda. Jako pierwszy zobaczył je wprawdzie jakiś czas temu Francuz Marion du Fresne, lecz Cook nie miał zamiaru pozwolić, żeby taki drobny szczegół powstrzymał go przed ochrzczeniem wysp i zaanektowaniem ich dla Korony. (Obecnie wyspy te należą do Południowej Afryki). Dwanaście dni później odnalazł Kerguelen Island, której bez powodzenia szukał mniej więcej cztery lata wcześniej. Pierwsza wyspa została nazwana Isle of Randevous przez Kerguelena. Cook naturalnie zmienił tę nazwę na Bligh's Cap, od nazwiska swojego asystenta, bo, jak powiedział, tylko ptaki morskie mogłyby spotykać się na tej jałowej, pustej, pozbawionej drzew wyspie.

Pchały ich mocne wiatry zachodnie i oba statki dotarły bardzo szybko, 26 stycznia, do Van Diemen's Land — Tasmanii. Zabrali zapasy wody i drewna oraz bliżej poznali się z aborygenami. Jak pisał Samwell, asystent chirurga okrętowego, ich kobiety były najpaskudniejszymi istotami ludzkimi, jakie można sobie wyobrazić. Jeśli sądzić po rysunkach Webbera, oficjalnego malarza „Resolution”, to rzeczywiście dosyć trudno byłoby zaprzeczyć opinii Samwella.

Wyłynęli 30 stycznia, a 12 lutego przybyli do Nowej Zelandii. Zakotwiczyli w miejscu, które stało się już równie bliskie Cookowi co Matavai Bay na Tahiti — Oueen Charlotte Sound. Tu okazało się, że Maorysi byli przerażeni ich przybyciem: uważali — według ich kodeksu moralnego było to nieuniknione — że Cook wrócił pomścić śmierć dziesięciu ludzi Furneaux. Nie mogli zrozumieć, że nie zamierzał tego robić. Byli kompletnie zaskoczeni, kiedy kapitan odkrywszy, kto przewodził rzezi ludzi Furneaux — był to lokalny wódz, Kakura — nie kazał go natychmiast zabić. Cook pisał: „Gdybym stosował się do rad naszych tzw. przyjaciół z Oueen Charlotte Sound, powinienem był wymordować całe plemię, bo ludzie z każdej wioski namawiali mnie do wymordowania swoich sąsiadów. Najlepszy to dowód, jak w strasznym stanie podzielenia i braku poczucia jedności żyją”. Zamiast więc dokonać egzekucji Kakury, Cook kazał Webberowi namalować jego portret — klasyczny przykład nadstawiania drugiego policzka. Nie wiemy, niestety, czy ten gest w jakikolwiek sposób złagodził krwiożerczą naturę Kakury.

Po dwóch tygodniach oba statki wyłynęły w drogę na Tahiti. Cook chciał dotrzeć tam najkrótszą trasą, lecz wschodnie wiatry nie pozwalały im posuwać się szybko naprzód i spychały statki na zachód. 29 marca dostrzeżono łód — była to Mangaia, jedna z wysp grupy Cooka. Rify koralowe broniły dostępu do brzegu, spróbowali więc wylądować na innej wyspie, lecz także bez skutku.

Brakowało pokarmu dla zwierząt i sytuacja stawała się poważna. Zamiast więc zmagać się ze wschodnimi wiatrami, co mogło trwać całe tygodnie, Cook kazał zmienić kurs na zachód na Friendly Islands. Był pewien, że tubylcy przyjmą go tam z radością i będzie mógł uzupełnić zapasy. W drodze zatrzymali się na bezludnej Palmerston Island i zebrali trochę suchej trawy.

„Resolution” i „Discovery” przybyły na Friendly Islands pod koniec kwietnia i pozostały do połowy lipca. Ten okres w życiu Cooka wzbudza dyskusje i rozmaite domysły wśród historyków. Dlaczego to, pytają, nie wyruszył na północny Pacyfik i nie próbował pokonać Cieśniny Beringa, nawet biorąc pod uwagę, że byłoby to już późne lato, kiedy by dotarł na miejsce? Odpowiedź jest prosta: plan Admiralicji zakładał skoordynowany atak na północno-zachodni pasaż od Atlantyku i Pacyfiku, w nadziei, że obie ekspedycje się tam spotkają. Datę tego ataku wyznaczono na 1778 rok, czyli następne lato. Lordowie brali pod uwagę możliwość najróżniejszych opóźnień, a co za tym idzie prawdopodobieństwo niedotrzymania terminu spotkania w 1777 roku. W rzeczywistości Cook posuwał się jednak bardzo szybko i gdyby

bardzo usilnie się starał, mógłby dotrzeć do Cieśniny Beringa jeszcze tego lata. Nie było jednak sensu tego robić, gdyż termin został wyznaczony na następny rok.

Zastanawiające jest jednak, że Cook, ten niezmordowany człowiek o nienasyconej żądzy odkrywania, wydawał się tracić chwilowo potężną siłę, która pchała go ku nowym badaniom. Wspominano albo mówiono mu wiele razy o istnieniu wysp Samoa na północy i wysp Fidżi na północnym zachodzie. Mierząc odległości miarą i tempem odkryć Cooka na Pacyfiku, obie te grupy znajdowały się prawie tuż za progiem Friendly Islands. Mówiono mu też o wielu innych wyspach leżących w niedużej odległości od Tongatabu. Cook pozwolił im istnieć sobie dalej spokojnie i, pozornie bez celu, żeglował między cudownymi wyspami Tonga. Stał się tak tolerancyjny, że dziewczęta z Friendly Islands zamieszkały na pokładzie i towarzyszyły Anglikom w tej idyllicznej wędrówce z wyspy na wyspą.

Zachowywał się jak sportowiec, który grał i zwyciężał już w zbyt wielu meczach. Wreszcie dopadło go zmęczenie po gigantycznej pracy i wysiłku ostatnich lat. Możliwe, że specjalnie pozwalał teraz sobie i swojej załodze na odpoczynek — musieli być przecież u szczytu formy przed atakiem na Cieśninę Beringa. Może po prostu pokochał Friendly Islands; tak z pewnością było. A może miał przeczucie, że właśnie teraz nadszedł czas, by żył, że następnej szansy już nie będzie i musi wykorzystać chwile, które jeszcze mu pozostały. Nigdy się tego nie dowiemy: Cook naturalnie nie wspomina w swoich dziennikach o powodach tej zwłoki.

17 lipca oba statki wyruszyły na Tahiti, gdzie dotarły 12 sierpnia. Tu znowu Cook pogrążył się w dziwnej beczynności, spędzając czas ze starymi i godnymi zaufania przyjaciółmi z Tahiti i sąsiednich Society Islands. Zwierzęta przewieziono na ląd w Matavai Bay. Cook z rozbawieniem pisze, jaką sensacją dla Tahitańczyków stało się pojawienie jego i kapitana Clerke'a na koniach — Tahitańczycy nigdy wcześniej nie widzieli tych zwierząt.

Dziwne, że Clerke w ogóle mógł się jeszcze utrzymać na koniu. Pierwsze oznaki gruźlicy pojawiły się niedługo po opuszczeniu Anglii i teraz choroba była już w bardzo zaawansowanym stadium. W tamtych czasach gruźlica była oczywiście nieuleczalna. Bardzo często Clerke bywał tak osłabiony, że nie był w stanie dowodzić „Discovery”; jego stan pogarszał się tak szybko, iż rozważano możliwość pozostawienia go na Tahiti. Dowództwo „Discovery” miał przejąć Burney, jego pierwszy oficer. Clerke jednak nie zgodził się na takie rozwiązanie.

Wydaje się, że w swoim postępowaniu wobec tubylców Cook stawał się coraz bardziej despotyczny. Po opuszczeniu wyspy zawinęli do portu na wyspie Moorea, około dwunastu mil od Tahiti. Tu skradziono jedną z kóz. Cook zagroził wtedy, że jeśli natychmiast nie zostanie zwrócona, każe zniszczyć wszystkie canoe na wyspie. Miałoby to oczywiście straszne skutki, jeśli chodzi o transport żywności i całą gospodarkę Moorea, i wydaje się być zbyt ostrą karą za kradzież jednej kozy. Spalono dwanaście canoe, nim koza powróciła do właścicieli.

Na wyspie Huahine z kolei zginął sekstans. Odzyskano go i schwytano złodzieja. Nie okazał on skruchy, wręcz odwrotnie — zachowywał się wyjątkowo bezczelnie, więc kapitan kazał obciąć mu uszy. I znowu wydaje się, że kara przewyższyła przestępstwo. Na Raiatei Cook powrócił do dawnego zwyczaju brania zakładników. Uciekło dwóch ludzi z załogi, wtedy natychmiast wziął w niewolę syna, córkę i zięcia wodza wyspy, który zawsze przyjmował Cooka ogromnie serdecznie i gościnnie. Zakładników zwolniono dopiero po powrocie dezertersów. Warto tu zauważyć, że ta taktyka wzbudziła w tubylcach tak wielką wściekłość, że próbowali porwać obu kapitanów. Patrząc na te wydarzenia z perspektywy, Cook powinien był odczytać z nich ostrzeżenie; ale, jak wiadomo, mądrość zawsze przychodzi po szkodzie. Bez wątpienia jednak taktyka brania zakładników działała. Nam może się to dziś wydać zbyt ostrą polityką, lecz musimy pamiętać, że Cook był człowiekiem osiemnastego wieku, który musiał sobie poradzić z polinezyjską mentalnością. Nie mamy więc nawet pojęcia o jego problemach. Był bardzo

inteligentnym człowiekiem, znał to miejsce i ludzi i z pewnością wiedział, co robi. Poza tym trudno powiedzieć, jaką inną taktykę mógłby przyjąć.

Statki wypłynęły 7 grudnia. 22 grudnia przekroczyli równik, a 24 odkryli ponurą i bezludną wyspę, którą Cook nazwał Wyspą Bożego Narodzenia. Zdecydował, że zatrzymają się tam na kilka dni. Zostali aż dziewięć po to, żeby załoga mogła spędzić swoje święta. Trudno jednak przypuszczać, żeby potrzebowali odpoczynku po siedmiu miesiącach wałęsania się po wyspach Pacyfiku.

Podczas pobytu na Wyspie Bożego Narodzenia Cook, drugi oficer Kmg i astronom Bayly zeszli na ląd, żeby obserwować zaćmienie słońca — wyniki miały im umożliwić ustalenie dokładnej długości geograficznej, pod którą się znajdowali, a także sprawdzić dokładność chronometru. Clerke już im nie towarzyszył — był zbyt chory.

Po tej krótkiej przerwie statki ruszyły dalej. 18 stycznia spostrzeżono dwie góryste wyspy. Cook dokonał swojego ostatniego wielkiego odkrycia — były to Hawaje. Obie dostrzeżone wyspy, Niihau i Kauai, były najbardziej wysuniętymi na zachód dużymi wyspami z tej grupy. Cook nazwał je Sandwich Isles — nazwisko jego przyjaciela, zwierzchnika i Pierwszego Lorda, Earla Sandwich, pojawia się w wielu miejscach Pacyfiku i Atlantyku — są one jednak obecnie znane jako Hawaje. Największą z wysp, położoną najdalej na wschód, Cook odkrył dopiero później. To od niej właśnie, Hawai, pochodzi nazwa całej grupy.

Po tradycyjnym już nawiązaniu kontaktu z tubylcami polegającym na zastrzeleniu krajowca bez żadnej prowokacji, Cook ustalił znakomite stosunki z mieszkańcami wyspy. Wydaje się, że uważali go za kogoś w rodzaju boga, bo kiedy tylko postawił stopę na lądzie, upadli na twarz i nie podnieśli się, dopóki nie dał im znaku, że sobie tego życzy.

Cook uważał Hawajczyków za bardzo atrakcyjnych ludzi. Byli przyjacielscy, gościnni, nie nosili broni, w przeciwieństwie do przeciętnych Polinezyjczyków byli bardzo uczciwi. Wskazali kapitanowi inną wyspę, nazywaną przez nich Oaku, która znajdowała się na zachodzie. Cook uznał niestety, że nie będzie miał czasu, żeby ją zbadać. Niestety, bo znalazłby tam wspaniały port Pearl Harbor, gdzie w grudniu 1941 roku Japończycy zbombardowali flotę Stanów Zjednoczonych stacjonującą na Pacyfiku. Tam też znajduje się obecnie Honolulu, stolica Hawai.

2 lutego statki wyruszyły na północny wschód ku New Albion, zachodniemu wybrzeżu Ameryki Północnej. Dotarli tam 6 marca, i znaleźli się niedaleko cypla, który Cook nazwał przyłaskiem Foul Weather (Paskudna Pogoda), z powodu rzeczywiście paskudnej pogody, która tam ich dopadła niedługo później. Nazwa ta pozostała do dziś. W ciągu następnego miesiąca statki, z krótkimi tylko przerwami, walczyły z wyjątkowo nieprzyjemnymi wichurami, które znacznie spowolniły tempo ich przesuwania się na północ. Trzymali się więc w bezpiecznej odległości od wybrzeża i to właśnie dlatego nie zauważyli ujścia Columbia River i Cieśniny Juan de Fuca, która prowadzi do miejsca, gdzie stoi dziś miasto Vancouver.

„Resolution” i „Discovery” doznały ciężkich uszkodzeń w ciągu ostatniego miesiąca i bezwzględnie potrzebowały napraw. Na szczęście udało się znaleźć bezpieczną zatoczkę, Nootka Sound. Cook uważał, że dotarł do głównego lądu stałego. W rzeczywistości Nootka Sound leży na zachodnim wybrzeżu wyspy Vancouver. Zatrzymali się tam 30 marca i pozostali przez cztery tygodnie; musieli ściąć drzewo na bezanmaszt „Resolution”, a w tym czasie Cook zawarł znajomość z tubylcami. Mieli szerokie płaskie twarze i wysokie kości policzkowe. Najwyraźniej nie byli Polinezyjczykami — prawdopodobnie wywodzili się od plemion eskimoskich. Byli spokojnymi, przyjaznymi ludźmi — najlepszym dowodem niech będzie fakt, że nikogo z nich nie trzeba było zabijać.

Po naprawach statki ruszyły w morze 26 kwietnia i skierowały się na północ. Wody były burzliwe, trudne i zdradliwe i wymagały sztuki żeglarskiej najwyższej klasy. Cook znów był u

szczytu formy — badał, kreślił mapy i nazywał wszystko, co zobaczył. Widocznie jednak nawet jego niewyczerpana inwencja słabła, bo zaczął się powtarzać, używając tych samych nazw, których użył już kiedyś na morzach południowych.

Linia brzegowa skręcała na zachód — statki płynęły teraz wzdłuż południowych brzegów Alaski. „Resolution” bardzo przeciekał, więc Cook znalazł spokojną zatoczkę, która nazywa się obecnie Prince William Sound. Statek wyprowadzono na bardzo płytkie wody i wtedy okazało się, że poszycie było zupełnie pozbawione uszczelnienia.

Po uzupełnieniu ubytków popłynęli na południowy zachód, dookoła bardzo długiego cypla, znanego obecnie pod nazwą półwysp Kenai. Na zachód od półwyspu rozciągała się szeroka zatoka. Kilku oficerów sugerowało, że właśnie tam może się znajdować wejście do północno—zachodniego pasażu. Cook nie do końca się z tym zgadzał, ale postanowił sprawdzić. Płynęli zatoką, która przeszła w cieśninę, przez dwieście mil aż do samego końca, i znaleźli się pomiędzy pokrytymi lodem górami. Zdali sobie wtedy sprawę, że wpłynęli w zamknięty lodem fiord.

Powrócili więc na otwarte morze, przebyli trzysta mil w dół półwyspu Alaski i Aleutów. Na krótko zatrzymali się na jednej z tych wysp, Unalaska, a następnie popłynęli na północny wschód w górę półwyspu Alaski. Później dalej na północny wschód i na północ w Norton Sound. W czasie tego etapu podróży zmarł na gruźlicę główny chirurg, Anderson. Jeszcze na Tahiti powstał pomysł, żeby razem z kapitanem Clerke pozostali na wyspie. Prawdopodobnie nie poprawiłoby to jednak i tak ich stanu i nie uchroniło od śmierci.

Na północnym krańcu Norton Sound znajduje się cypel, który Cook nazwał Przylądkiem Księcia Walii. Jest to najdalej na zachód położony punkt kontynentu amerykańskiego — stąd jest najbliżej do Azji. Teraz przez Cieśninę Beringa Cook popłynął właśnie w kierunku Azji. Zatrzymał się na krótko w zatoce, którą nazwał Bay of St. Lawrence (Zatoka Świętego Wawrzyńca). Uehonorował w ten sposób Beringa, który pięćdziesiąt lat wcześniej nadał imię św. Wawrzyńca wyspie położonej na południe od Cieśniny Beringa. Tubylcy byli tu gościnni i uprzejmi, lecz zachowywali dystans. Sądząc z opisu ich zachowania i domostw, byli najbardziej zaawansowaną cywilizacyjnie rasą, jaką Cook spotkał na Pacyfiku. Z Zatoki Świętego Wawrzyńca „Resolution” i „Discovery” ruszyły na północ przez Cieśninę Beringa, przekroczyły Koło Podbiegunowe i popłynęły na Morze Czukockie, odgałęzienie Oceanu Arktycznego. Nie dotarli zbyt daleko. W ciągu trzech dni, między 14 a 17 sierpnia, temperatura spadła drastycznie, pogoda gwałtownie się pogorszyła i wkrótce dalszą drogę zagroziło im pole lodowe sięgające aż po horyzont. Przez cały tydzień Cook szukał jakiejś drogi przez ten obszar. Próbował popłynąć wzdłuż północnego wybrzeża Syberii, ale tu także zatrzymał go lód. Lato już się kończyło, i gdyby pozostali na tych wodach zbyt długo, lód mógłby ich uwięzić na Bóg wie jak długo. Cook zdecydował więc popłynąć na południe, spędzić zimę na Sandwich Islands i spróbować ponownie następnego lata.

Poprzedniego roku mogło się wydawać, że Cook beczynn timer spędzał czas na wodach mórz południowych, lecz teraz, gdy miał już przed sobą jasno określony cel, chciał go za wszelką cenę osiągnąć; jak napisał do lorda Sandwich, miało mu nie zbraknąć ani determinacji, ani poświęcenia, by dopiąć celu tej podróży.

Ponownie przeszli Koło Podbiegunowe i Cieśninę Beringa, a następnie popłynęli na południe ku Unalaska (Aleuty), gdzie przybyli 2 października. Postanowili się tu zatrzymać, gdyż „Resolution” w dalszym ciągu przeciekał — woda przedostawała się przez nieszczelne poszycie, jak przez sito. Podczas trzytygodniowego pobytu na Unalaska Cook napotkał rosyjskich kupców, którzy pomogli mu uzupełnić braki w przygotowywanych przez niego mapach, a także wskazali błędy na tych, które otrzymał z Anglii. Poznał też wtedy stosunkowo niezłe Eskimosów — jak



napisał, najspokojniejszych i nie wadzących nikomu ludzi, jakich kiedykolwiek spotkał.

Statki wypłynęły w kierunku Sandwich Islands 24 października. Dotarły na miejsce 26 listopada; podróż przebiegła prawie zupełnie spokojnie z wyjątkiem wichury, w czasie której złamał się główny hals „Discovery”, przy czym śmierć poniósł jeden człowiek, a kilku zostało rannych. Jako pierwszą spostrzegli wyspę Mani, drugą pod względem wielkości i położenia najdalej na wschód. Tubylcy wypłynęli ku statkom, wioząc w czółnach świeże owoce, warzywa i naturalnie nieuniknione świnie. Między witającymi znalazł się stary człowiek, który, sądząc po szacunku, jaki okazywali mu inni, musiał być kimś ogromnie ważnym w lokalnej społeczności: był to król Hawajów.

Zostawili za sobą Maui i mniej więcej dwa dni później dostrzegli wysokie, pokryte śniegiem bliźniacze szczyty wyspy Hawai: ich wysokość wynosi około trzynastu tysięcy siedmuset stóp. Cook płynął wokół wybrzeża w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na rzucenie kotwicy. Statkom towarzyszyły w dużej liczbie canoe; tubylcy wchodzili na pokład „Resolution” i „Discovery” bez śladu lęku — coś podobnego nie zdarzyło się jeszcze nigdy na Pacyfiku. Łodzie, zauważył bez komentarza Cook, wypełnione były prosiętami i kobietami — te ostatnie zachowywały się szalenie zachęcająco. Z całą pewnością Hawajczycy byli bardzo ufnym plemieniem. W nocy sypiali na pokładzie, przywiązując czółna do statków. Z powodu przeciwnych wiatrów opłynięcie południowego wybrzeża wyspy i ruszenie w górę zachodniego zajęło statkom dużo czasu. Dopiero 16 stycznia zauważono odpowiednie miejsce na port w Kealakekua Bay. William Bligh wysłany został z zadaniem zbadania warunków w zatoce; powrócił z meldunkiem, że są doskonałe.

W okolicy znajdowała się woda pitna, a dwie wioski, Kakua i Kavarua mogły być źródłem zaopatrzenia.

Kiedy już następnego dnia zakotwiczyli w Kealakekua Bay, czekało ich zupełnie bezprecedensowe przyjęcie. King, drugi oficer Cooka, napisał, że na powitanie kapitana i jego ludzi wypłynęło koło półtora tysiąca czółen z mniej więcej dziewięcioma tysiącami tubylców na pokładach. Setki innych wypłynęło na deskach surfingowych i setki też wplaw, niczym ławice ryb. Tysiące ludzi stało na brzegu zatoki.

Wódz Palea i najwyższy kapłan Koa weszli na pokład i powitali Cooka z szacunkiem bardziej zbliżonym do czołobitności i uwielbienia, a kiedy kapitan zszedł w ceremonialnej eskorcie na brzeg, tysiące czekających padło przed nim na twarz. Musiał następnie uczestniczyć w długiej i dość szczególnej uroczystości. Było to powitanie lub może inicjacja, ceremonia o zdecydowanie religijnym podtekście. Dopiero po jej zakończeniu mógł wrócić na pokład „Resolution”. Cook nie wiedział, że w czasie tej ceremonii został uznany za boga. Legendy hawajskie mówią o jednym z ich bogów, Łono, patronie szczęścia, pokoju i rolnictwa, który odpłynął w morze wiele tysięcy wieków wcześniej. Miał jednak powrócić któregoś dnia. Cook stał się dla Hawajczyków powracającym Łono, a „Resolution” jego świątynią. Wiadomość o jego przybyciu wędrowała z wyspy na wyspę od wylądowania Cooka na Niihau i Kauai rok wcześniej. Statki spostrzeżono daleko od wybrzeża wyspy Hawai na wiele dni przed zarzuceniem kotwicy. To tłumaczyło, dlaczego dziesiątki tysięcy wyległy na powitanie Cooka — na Hawai znajdowały się tylko dwie niewielkie wioski, lecz ludność innych wysp miała wystarczająco dużo czasu, żeby przybyć nawet z daleka i uczcić powrót swojego boga.

Nie wydaje się, żeby fakt wyniesienia na ołtarze wywarł na Cooku specjalne wrażenie. Był o wiele szczęśliwszy, że odkrył Hawaje — tak czułby przecież każdy odkrywca. Pisał: „Nie udało nam się wprawdzie zesłęgo lata odnaleźć północno—zachodniego pasażu, lecz to rozczarowanie łagodzi nieco odkrycie, które wydaje się być pod każdym względem najważniejszym, dokonany przez Europejczyków na całym obszarze Pacyfiku”. To ostatnie słowa w dzienniku

Cooka; dobrze, że kończy się on tak miłym, pełnym zadowolenia akcentem.

Na brzegu, niedaleko wioski Kekua, w której znajdowało się źródło wody pitnej, rozbito namioty. W jednym z nich umieszczono obserwatorium. Statki na wszelki wypadek znajdowały się niedaleko — choć „wszelki wypadek” wydawał się wyjątkowo nieprawdopodobny. W razie potrzeby załoga znajdująca się na brzegu mogła w ten sposób liczyć na wsparcie ogniem z dział. Kekua położona jest we wschodniej części zatoki. Na północny zachód znajduje się wioska Kavarua — tam, zwykle schodził na ląd Cook i tam także miał swoją rezydencję król Kalaniopu.

W czasie kiedy Cook przybił do wyspy, król był nieobecny, zjawił się jednak 24 stycznia. Okazało się, że był to ten sam starszy mężczyzna, który odwiedził pokład „Resolution” w Maui. Teraz przybił na „Reso—lution” z prywatną wizytą, jedynie w towarzystwie swojej najbliższej rodziny. Dopiero następnego dnia z całym ceremoniałem odbyła się wizyta głowy państwa — wspaniale ubranemu monarsze towarzyszyła tym razem liczna świta dworska. Wymieniono cenne dary. Król Kalaniopu ofiarował Cookowi pół tuzina peleryn z drogich piór, a Cook odwzajemnił się podarunkiem w postaci swego własnego pasa i szpady. Wymienili się także imionami, co w kulturze Pacyfiku oznaczało przyjaźń na wieki. Wydawało się, że wszystko idzie wspaniale.

Niestety barometr uczuć miał widać zepsuty wskaźnik — przyjaźń na wieki trwała bowiem bardzo krótko. W ciągu tygodnia zachowanie tubylców zmieniło się diametralnie. Zaczęli niedwuznacznie dawać do zrozumienia, że najwyższy już czas, by ich bóg znowu wyruszył w podróż. Sugerowali, że jako gospodarze, są już zmęczeni gośćmi, których utrzymanie tak drogo kosztuje, bo załogi obu statków pochłaniają masę żywności. Była to prawda; możliwe że to właśnie zaważyło na zmianie stosunku tubylców do Anglików. Z drugiej jednak strony, ludzie Cooka przebywali na wyspie nie dłużej niż dwa tygodnie — na wielu wyspach Pacyfiku zatrzymywali się na znacznie dłuższy okres, a gościnność mieszkańców nigdy nie chłódła. Poza tym Cook zawsze skrupulatnie płacił za żywność.

Bardziej prawdopodobne wydaje się inne wyjaśnienie: kiedy na wyspę przybił bóg Łono, kapłani poczuli, że słabnie ich bezcenna władza i autorytet. Doszli pewnie do wniosku, że jeśli ludzie zaczną im raz okazywać mniejszy niż dawniej szacunek, szalenie trudno będzie potem odzyskać straconą pozycję. Powiedzieli też prawdopodobnie królowi, że jego samego spotka podobny los. Władca, stary, zmęczony człowiek, daleki od szczytu zarówno fizycznej, jak i umysłowej formy, mógł się z nimi zgodzić i wyrazić ciche przyzwolenie na szerzenie nowej idei wśród tubylców. Podstawowy zaś punkt brzmiał: najlepiej byłoby, gdyby Cook i jego ludzie jak najszybciej opuścili wyspę.

Trudno dziś powiedzieć, jak było naprawdę, w każdym razie Cook świetnie rozumiał podtekst całej sytuacji. Namioty i obserwatorium usunięto z wyspy i przeniesiono z powrotem na statki. Król Kalaniopu pojawił się znowu i obsypał kapitana dalszymi cennymi prezentami — może po to, żeby okazać najwyższy szacunek, a może, by przyspieszyć rozstanie z niewygodnym gościem.

Cook chciał teraz ukończyć badanie Wysp Hawajskich, a następnie udać się na Kamczatkę na wschodnim wybrzeżu Azji. Dopiero na potem planował ponowną próbę odnalezienia północno—zachodniego pasażu. Wypłynęli 4 lutego, żegnani, tak się przynajmniej wydaje, prawdziwie serdecznie. Możliwe, że podstawowym składnikiem tej serdeczności była ulga: goście wreszcie opuszczali wyspę.

Kiedy sześć dni później powrócili, serdecznych uczuć było już znacznie mniej. Statków nie powitał nikt z hierachii. Jednak nie mieli wyboru: dwa dni wcześniej w potwornej wichurze grotmaszt „Resolution” uległ poważnemu uszkodzeniu i wymagał natychmiastowej naprawy.

Stosunki między Anglikami a tubylcami wkrótce stały się napięte, a następnie przeszły w

otwartą wrogość. Hawajczyk, którego przyłapano na kradzieży, został ukarany chłostą. Kapłani zniechęcali tych, którzy pomagali ludziom Cooka w ładowaniu zapasów świeżej wody. Wyspiarze zaczęli nosić broń, zachowywali się nieuprzejmie i naigrawali z Anglików. Któryś z krajowców ukradł narzędzia do produkcji broni i w czółnie uciekł na brzeg. Wtedy Edgar, asystent kapitana „Discovery”, zszedł na brzeg z kilkoma innymi ludźmi i usiłował skonfiskować czółno. Wynikła walka, tubylcy użyli kamieni, a Edgar i jego ludzie zostali zmuszeni do porzucenia szalupy, w której przyłynęli; ratowali się ucieczką w pław. Co najgorsze, czółno jakiego użył złodziej (przedtem także je ukradł), należało do wodza, który okazywał Cookowi ofiarną przyjaźń i pomoc.

Kiedy Cook dowiedział się o zajściu, był wściekły. King zanotował, że kapitan powiedział: „Obawiam się, że ci ludzie zmuszą mnie do użycia ostrych środków: nie można ich bowiem pozostawić w przekonaniu, że udało im się z nami wygrać”.

Na nieszczęście dla Cooka, okoliczności sprzyjające użyciu ostrych środków zaistniały już następnego ranka, 17 lutego 1779 roku. Clerke doniósł Cookowi, że w nocy skradziono dużą szalupę. Dowódca nie wahał się i natychmiast postanowił zastosować taktykę brania zakładników, która okazała się tak skuteczna w przeszłości. Chciał pojmać Kalaniopu i uwięzić go na „Resolution”, póki szalupa i narzędzia nie zostaną zwrócone.

Żołnierze piechoty morskiej przepłynęli na ląd w szalupie, pinasie i barkasie\*. Przybili do brzegu w Kavarua. Trzy łodzie trzymały się niedaleko od brzegu, a Cook i dziesięciu uzbrojonych żołnierzy piechoty morskiej z ich dowódcą, porucznikiem Molesworth Phillips, udało się do domu króla Kalaniopu. Poprosili, by popłynął z nimi na „Resolution”. Stary król nie sprzeciwiał się, lecz kiedy byli już na brzegu, podbiegła jedna z jego starszych żon i ze łzami w oczach błagała go, żeby nie wchodził na pokład. Sytuacja skomplikowała się, gdy pojawiło się dwóch wodzów, którzy schwycili króla za ramiona i zmusili, by usiadł. Stary człowiek, jak napisał Phillips, wyglądał na „zagubionego i przestraszonego”.

Opisy tego, co się stało później, są niejasne. Wielu ludzi twierdziło, że byli naoczniymi świadkami i naturalnie nikt nie sugeruje, że kłamali, podali wykrzywiony obraz sytuacji lub też starali się przedstawić samych siebie w jak najlepszym świetle. Jak mówiliśmy już wcześniej, kiedy wydarzenia rozwijają się błyskawicznie, opisy sytuacji zwykle różnią się między sobą.

Wiemy jednak na pewno, że wokół Cooka zebrało się dwustu — trzystu tubylców. Phillips zapytał, czy piechota morska ma się ustawić przy samym brzegu, a kapitan najwyraźniej się na to zgodził, choć oznaczało to, że pozostał wśród tubylców odizolowany i bez żadnej ochrony. W chwilę później rozległy się strzały. Doniesiono, że został zastrzelony jeden z naczelnych wodzów, kiedy próbował opuścić wyspę. Okazało się to niestety prawdą i wprawiło tłum we wściekłość. Jakiś tubylec z pakua (długim na dwie stopy zaostrzonym kawałem żelaza) i tarczą zbliżył się do Cooka, najwyraźniej mając zamiar go zaatakować. Kapitan wystrzelił, kula jednak nie przebiła tarczy. Wybuchła gwałtowna strzelanina. Strzelali zarówno żołnierze na brzegu, jak i ci w łodziach. Wkrótce zaczęła się walka wręcz, bagnety i kolby przeciwko pakua i kijom. Hawajczycy przeważali liczebnie i było oczywiste, że piechota morska nie wytrzyma dłużej.

Krajowcy w dalszym ciągu czuli tak ogromny respekt przed Cookiem, że nie śmieli go tknąć, póki stał twarzą do nich. Kiedy jednak odwrócił się, by przywołać łodzie do brzegu, został powalony uderzeniem kija. Nie jest to fakt bez znaczenia, że uderzył go Koa, najwyższy kapłan. Momentalnie dziesiątki tubylców rzuciło się na kapitana, leżącego w płytkiej wodzie, dźgając go raz po raz nożami i pakua. Była ósma rano. Cook miał pięćdziesiąt jeden lat.

Oszaleli z rozpaczy marynarze i żołnierze błagali kapitana Clerke’a, by pozwolił im pomścić

---

\* Największa łódź okrętowa — szesnaście do dwudziestu wiosel.

Cooka. Clerke, człowiek nie tylko niezwyklej siły charakteru, ale i mądrości, odmówił: zdawał sobie sprawę, że jeśli się zgodzi, ludzie nie ustaną, póki nie wymordują Hawajczyków z Kealakekua Bay do nogi. Clerke nie wierzył, że morderstwo popełniono z premedytacją: biorąc pod uwagę naturę Cooka i charakter tubylców, uważał takie zakończenie za nieuniknione.

Szczałki Cooka pochowano w morzu 22 lutego. Śmiertelnie chory Clerke powinien był zawrócić do Anglii, lecz by uczcić pamięć „mego dobrego przyjaciela, kapitana Cooka”, poprowadził „Resolution” i „Discovery” przez Cieśninę Beringa na wody Arktyki. Nie powiodło mu się jednak, podobnie jak Cookowi ubiegłego lata; nie odnalazł północno–zachodniego pasażu. Clerke zmarł w drodze do Anglii, gdzie „Resolution” i „Discovery” przybyły 4 października 1780 roku. Mijały właśnie cztery lata i trzy miesiące odkąd Cook wyruszył w swoją ostatnią podróż.

## EPILOG

I w ten sposób, gwałtownie, niespodziewanie i niepotrzebnie wielki człowiek zakończył życie. Zginął u szczytu swoich sił i sławy — było to tak, jakby jego życiem pokierował nieunikniony los, niczym w greckiej tragedii. Bardzo możliwe, że osiągnął już wszystko, co było mu sądzone osiągnąć, bowiem ostatnie zadanie, które sobie postawił, było niewykonalne: wiemy dziś, że północno—zachodni pasaż nie istnieje, i żeby się tamtędy przedostać, trzeba mieć do dyspozycji lodołamacz o napędzie atomowym.

Cóż jeszcze mógłby zrobić Cook? Sądząc po życiu niezmordowanego odkrywcy, jakie pędził od dwunastu lat, nie było już przed nim żadnej przyszłości. Oczywiście były jeszcze miejsca do zbadania, miejsca, których map nikt jeszcze nie nakreślił. Ale jakie miejsca? Należał do niego cały świat, wędrował po nim z taką łatwością, z jaką dziecko chodzi po dobrze znanym podwórku. Takiego człowieka nie wysyła się byle gdzie, w rejony, które zostały już w większości odkryte. Wyzwaniem dla Cooka było tylko nieznanne, albo nic. Nie sposób wierzyć, żeby człowiek, którego niepokonany duch wiódł tam, gdzie nie było jeszcze białego człowieka, osiadł spokojnie w Greenwich Hospital i cieszył się honorami. Jakże mógłby starzeć się powoli? Jego tytaniczne osiągnięcia były już za nim, na świecie zabrakło miejsc, które mógłby podbić i zbadać. Może bogowie, pozwalając mu umrzeć, okazali swą łaskawość.

Nigdy jednak nie minie jego sława, nikt nie pozbawi go miejsca w historii. Byłby zadowolony, bo oznacza to, że ludzkość uznała dokonania człowieka, dla którego osiągać i stawiać czoło wyzwaniom znaczyło wszystko.

Z niezrównanym uporem, cierpliwością i determinacją dążył do osiągnięcia celów, jakie przed sobą stawiał. O tych właśnie celach piszą, żegnając go, dwaj jego współcześni, którzy znali go chyba najlepiej.

Oto co napisał Samwell, asystent chirurga na „Resolution” w ostatniej podróży Cooka:

„Natura dała mu żywy, pojętny, bystry umysł, który w latach dojrzałych starannie rozwijał. Jego wiedza była bogata i zróżnicowana: nikt nie mógł się z nim równać w znajomości zawodu. Cieszył się także umiejętnością osądu, męskim zdecydowaniem i determinacją; był geniuszem nowych przedsięwzięć, dążył do celu z niezmordowaną wytrzymałością. Czujny i nieustający w działaniu; odważny i opanowany w niebezpieczeństwie; cierpliwy i odporny w trudnościach i złych chwilach; zawsze pełen nowych pomysłów; wielki i oryginalny we wszystkich swoich planach — nie ustawał, póki nie osiągnął celu. W żadnej sytuacji nikt nie mógł się z nim równać; na niego zwrócone były oczy wszystkich, był naszą gwiazdą przewodnią. Kiedy ta gwiazda znikła, pozostaliśmy pogrążeni w ciemności i rozpacz.”

Sir Hugh Palliser, Skarbnik Marynarki, przyjaciel i wieloletni kolega Cooka, ten, który pierwszy rozpoznał jego geniusz, wznosił pomnik w swoim majątku Chalfont St. Giles w Buckinghamshire. Napis na nim powtarza częściowo słowa Samwella:

„Jego cnoty i zasługi wyniosły go na wyżyny z nizin urodzenia. Dowódca kompanii w Marynarce Jego Królewskiej Mości, zamordowany przez dzikich tubylców na wyspie Hawai 17 lutego 1779 roku. Wypę tę odkrył na krótko przed śmiercią, odbywając trzecią swoją podróż dookoła świata.

Posiadał wszystkie cechy, które pozwoliły mu osiągnąć najwyższe kwalifikacje zawodowe i przewodzić w wielu przedsięwzięciach, a także zalety najlepszego człowieka i przyjaciela. Opanowany i przytomny w wydawaniu trafnych osądów; inteligentny i stały w niezłomnym dążeniu do celu; aktywny w realizacji planów; czujny i rozważny; niepohamowany w wysiłku,

pokonywaniu trudności i przewyciężaniu rozczarowań, pełen pomysłów i idei, zawsze zachowujący przytomność umysłu; mądry i pełen zrozumienia”.

„Ja, którego ambicją było dotrzeć nie tylko dalej niż ktokolwiek przede mną, lecz tak daleko, jak człowiek może dotrzeć...”